№ 46. Warszawa, dnia 12 Listopada (31 Października) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

WYBORY POLSKIE
do sejmu niemieckiego.

Może zanim słowa, które tu piszemy, dobiegną do czytelników, już wybory w Niemczech będą ukończone, a Księstwo Poznańskie, Szląsk i Prusy Zachodnie zamkną ostatecznie rachunek tegorocznych zabiegów około utrzymania dawnych i zdobycia nowych miejsc w sejmie. Ponieważ do rachunku tego wejdą jeszcze tylko wybory ściślejsze, w których polacy wystąpią do walki z niemcami, możemy więcjuż dziś nad nim się zastanowić.

Tegoroczny plon jest dosyć szczęśliwy. Polacy otrzymali dotąd 11 mandatów w Poznańskiem, cztery w Prusach Zachodnich i jeden na Szlązku. Przepołowiwszy przypuszczalnie wynik wyborów ściślejszych (sześciu), otrzymalibyśmy w przyszłem Kole Polskiem blisko 20 członków. Rezultat ten jest sam przez się nader pocieszającym, nabiera on wszakże jeszcze większego znaczenia w stosunku do innych, niemieckich żywiołów sejmu. Prawdopodobny jego układ, gdyby nawet w pewnych sprawach grupy konserwatywne połączyły się ze środkiem (*centrum*), nie da rządowi posłusznej na każde skinienie ks. Bismarka większości. Stronnictwa opozycyjne: postępowcy, secesyoniści, socyalno-demokraci, demokraci i t. d. utworzą przeciwwagę, wobec której Koło Polskie może odegrać niepoślednią rolę. Same gazety niemieckie przyznają, że przy obecnem ustosunkowaniu się grup sejmu w bardzo wielu wypadkach będą decydowali polacy. Cała więc sztuka ich polityki polegać będzie na umiejętnem wyzyskaniu tego korzystnego położenia. Nie powiemy, ażeby to zadanie było zbyt łatwe; że jednak jest ono do podjęcia konieczne, wątpliwości nie ulega. Spełnić je zaś można tylko zawieraniem częściowych, pożytecznych sojuszów, zapewniających narodowości polskiej istotne usługi. O trwałem przymierzu z którąkolwiek partyą opozycyjną nie może być mowy, gdyż pomijając maksymę poety, że „jak świat światem, niemiec polakowi nie będzie bratem," stronnictwa te zbyt są liczne i w dążeniach swoich rozstrzelone, ażeby mogły stanowić jednolitą i na wszystkie wypadki wierną pomoc. Ale ponieważ, niestety, parlament każdy, a zwłaszcza niemiecki jest targiem, trzeba więc sprzymierzeńcom sprzedawać to, co sprzedać się godzi, i nabywać od nich to, co nabyć warto. Na sejmowym zaś jarmarku bywa jedno lub drugie, zdarza się sposobność do poparcia jakiegoś stronnictwa bez żadnego gwałtu dla swego sumienia lub przyjęcia jego pomocy bez ujmy dla godności. Nie możemy tego powiedzieć o dotychczasowym związku Koła Polskiego z klerykalnym środkiem, z żuawami papieskimi i feodałami, którzy nieraz za swe wątpliwe i obłudne łaski kazali mu płacić dotkliwemi ofiarami. Nie apostołujemy tu bezwzględnego rozbratu z tem potężnem stronnictwem, które również polakom przydać się może; sądzimy jednak, że dziś „mądrzy po szkodzie" nie powinniby przysięgać na wierność p. Windhorstowi i jego rzeszy. Bo gdy ks. Bismark do niej się uśmiechnie i ustępstwem drobnem obdarzy, jego dotychczasowi przeciwnicy staną się zapamiętałymi przyjaciółmi a swych niepotrzebnych sprzymierzeńców odprawią z niezbyt zaszczytnym kwitkiem zasługi w opieraniu się postępowi.

Na drugim placu polskim, w Galicyi, rozpoczęła się również licytacya kandydatów do Rady Państwa i jak zwykle w tej skazanej na śmieszność ziemi — rozpoczęła się zabawnie. Na nieszczęście jednak ofiarą komedyi padł człowiek, który mimo swych wstecznych przekonań wcale na taki los nie zasłużył. Stańczycy, panujący dotąd w Krakowie niepodzielnie (bo słabych objawów oporu przeciw nim nawet liczyć nie warto), sprowadzili na swego przedstawiciela Juliana Klaczkę. Znakomity publicysta znalazł się w Krakowie niby przypadkiem, co jeszcze bardziej powiększyło śmieszność komedyi. Bo czyż to odpowiada godności jakiegokolwiek, a tem mniej z tytułu tytułów dumnego miasta, ażeby jego obywatele ofiarowali mandat poselski przejezdnemu, chociażby znakomitemu człowiekowi, który „przypadkowo," za interesami przybył do nich? Zaiste, nietrudno było przeciwnemu obozowi pokonać kandydaturę Klaczki, jemu zaś nie pozostało nic innego, jak wycofać się z honorem przed walną bitwą i w liście publicznym wytłomaczyć się „niemożnością" przyjęcia zaszczytu. Jakoż na placu pozostali pretendenci miejscowi: p. p. Warschauer, Mieroszewski i t. p., wszyscy przedstawiający prawie jednakowe rękojmie użytku swej działalności. Z całej tej komedyi wywiązuje się pytanie: dlaczego stańczycy, którzy przecież liczą w swem gronie tyle wielkości, aż zdaleka sprowadzili sobie kandydata? Rozumiemy dobrze ich taktykę. Luminarze krakowscy w zapasach nieustannych podszargali nieco swą powagę; gdy nadto pewne dogmaty polityczne stańczykow, zbyt obnażone, obudziły odrazę i wzmogły chronicznie lęgnącą się opozycyę, postanowili ozdobić swój pułk takim wodzem, wobec którego umilkłyby wszelkie szemrania. Z takiej kombinacyi narodził się Julian Klaczko i... jako delegat do Rady Państwa... umarł, bo umrzeć musiał.

W każdym razie charakterystycznym objawem w łonie stańczykowstwa jest ta chęć odnowienia i zrehabilitowania swego stronnictwa werbunkiem świeżym. Świadczy to o upadku moralnego kredytu partyi

która dotąd czuła się dosyć pewną i w swych operacyach bezpieczną. Tylko nie sądźmy, ażeby jej papiery się nie podniosły. Na krakowskiej giełdzie długo jeszcze, bardzo długo akcye stańczykowskie panować będą wyłącznie, pomimo krążenia drobnej monety liberalnej. Kontrmina dotąd za słaba, chociaż *Gazeta krakowska* ciągle do niej dosypuje swój drobny proszek.

Powróćmy jednak do rezultatu wyboru. Zwycięzcą z urny wyszedł hr. Mieroszewski, o którym korespondent *Gaz. Polskiej* tak się odzywa:

„P. hr, Mieroszewski należy do rzędu tych półpanków galicyjskich, którzy, oprócz nazwiska kończącego się na *ski* i przedpotopowych uprzedzeń i przesądów kastowych, nie mają w sobie absolutnie nic polskiego, a jak w rozmaitych elukubracyach, które przed laty drukiem ogłaszał, a w których usiłował dowieść, że *Krzyżacy spełniali w dawnej Polsce misyę cywilizacyjną* (sic), był czystej wody *Szwarzgelberem*, tak też, będąc do niedawna posłem do Rady Państwa, nie poczuwał się bynajmniej do solidarności narodowej, do Koła Polskiego nie należał i nie wahał się ani na chwilę złożyć mandatu, gdy mu się uśmiechnęła perspektywa zrobienia urzędniczej austryackiej karyery w Bośni. Przekonawszy się zaś, że amatorów do karyery tego rodzaju jest bardzo wielu i że w skutek tego może przebywać całe dziesiątki lat w niepowabnem Serajewie, jako bezpłatny radca namiestnictwa bez żadnej szansy awansu, p. hrabia podał się do dymisyi, wrócił do zagrody domowej i raczy znów ubiegać się o mandat poselski, który niedawno jeszcze mniej cenił niż bezpłatne i czysto drążkowe radcostwo przy bośniackim rządzie krajowym.“

Zaiste, patent na posełstwo nieszczególny. Pozostawiając korespondentowi odpowiedzialność za to świadectwo, my tylko na podstawie naszych informacyi wyznamy, że hr. Mieroszewski może być przedstawicielem liberalizmu, ale... krakowskiego.

ROZPACZLIWY OPÓR.

Ekonomistów mamy dostatek, gdy jednak przyjdzie do wcielenia w życie ich kazań przygodnych, czasem zbraknie nawet takich, którzyby znali cztery działania gospodarki społecznej. Okazało się to nieco za wyraźnie w zajmującej ogół sprawie kas rzemieślniczych. Na szczęśliwą i zacną myśl uorganizowania tej stałej pomocy, społeczeństwo odpowiedziało niewystarczającą, ale bardzo hojną składką. Kilkanaście tysięcy rubli, do których nie wszedł żaden szczodry datek bogatej ręki, lecz przeważnie ofiary drobne, to suma, niekrzywdząca naszego miłosierdzia. Suma ta wszakże nie zaspokoi potrzeb.

W chwili gdy zwolennicy dróg utartych zaczęli rozmyślać nad użyciem zwykłych sposobów publicznej żebraniny, występuje ktoś z propozycyą zasilania kas rzemieślniczych pożyczkami z zewnątrz na umiarkowany procent. Rodzi się komisya, która jednomyślnie zatwierdza projekt, ale występuje opatrzone władzą zwierzchniczą Towarzystwo Dobroczynności, które go również jednomyślnie odrzuca. Dlaczego? Dlatego, że ono nie chce brać na siebie odpowiedzialności materyalnej, a nawet... moralnej. Zanim parskniemy śmiechem, wysłuchajmy humorystów. P. D. Rosenblum pożycza kasom rzemieślniczym rs. 500; przypuśćmy, że te same rs. 500, t. j. te same papierki w pożyczkach przepadną; to skądże Towarzystwo Dobroczynności obawia się niebezpieczeństwa *materyalnego*, jeżeli kasy rzemieślnicze posiadają 14,000 rs. kapitału, który przecież cały odrazu nie zginie i który wpływać będzie powrotnie z długów spłaconych? Ażeby tę dziwną zagadkę rozwiązać, albo raczej tę obawę pojąć, trzeba chyba uciec się do następującej hypotezy:

Towarzystwo Dobroczynności zapewnie sądzi, że cały kapitał kas rzemieślnicy rozpożyczą i nie zwrócą, że więc ono musi pokryć również stracone zasiłki zewnętrzne od pp. Rosenbluma i innych. Hypoteza ta jednak wymaga drugiej, mianowicie, że wszyscy nasi rzemieślnicy pożyczający są to złodzieje, oszuści, marnotrawcy, słowem ludzie, którym garstka niedoświadczonych dudków postanowiła napchać puste kieszenie, ale Towarzystwo Dobroczynności nie jest tak naiwne, ażeby z własnej szkatuły miało do tego prezentu dokładać.

Tak rozumiemy jego trwogę przed odpowiedzialnością materyalną.

Trudniej zrozumieć moralną. Towarzystwo bowiem powiada, że chociażby nie poniosło strat, nie chce wdawać się w żadne tranzakcye na korzyść kas rzemieślniczych. Zachodzi więc pytanie: czy szanowni ekonomiści tej instytucyi nie uznają żadnych sposobów pomagania ubóstwu, prócz tych, które im wskazał i na wieczne czasy legował p. Dobiecki, b. prezes komitetu zabaw? Czy każda operacya, która nie jest balem, bazarem, koncertem lub kwestą wielkanocną, wydaje im się niegodną tak poważnego ciała? Odpowiedzmy na to pytanie szczerze: zarząd Towarzystwa Dobroczynności jest zbyt leniwym, zbyt przyzwyczajonym do łatwych wpływów, ażeby chciał trudzić się zaciąganiem pożyczek, samą nawet moralną odpowiedzialnością dla kas rzemieślniczych. On godzi się na jedno tylko: na przelewanie jałmużny z kieszeni ogółu do jego kasy. Co tylko grozi jakąkolwiek pracą, staraniem, kłopotem, to już mu nie przypada do smaku.

Przewidujemy też, że Towarzystwo Dobroczynności odmówi również drugiej postaci, w jaką p. Rosenblum (wnioskodawca zasilków zewnętrznych) swój projekt przyodział. Mówi on w *Kuryerze Warsz.*: „Odkupuję najodleglejsze raty wierzytelności kas w sumie ogólnej 500 rs. za wynagrodzeniem procentu, czy też eskonta w stosunku 3% rocznie; *zwalniam od ewikcyi* i żądam jedynie, ażeby kasy załatwiały za mnie bezpłatnie realizacyę owych mnie cedowanych rat i w razie potrzeby zajmowa-

---

[2])

KLEOPATRA.

Nowella.

II.

Dość późną godziną siedział Gustaw nachylony nad książką, gdy zapukano do drzwi jego pokoju.

— Proszę — odezwał się zdziwiony i przerwał czytanie.

— Czy można wejść?—zapytał za drzwiami dźwięczny, niewieści głosik.

— Ależ proszę — odpowiedział, podchodząc ku drzwiom.

We drzwiach ukazała się głowa, strojna w długie, jasno blond sploty i parę niebieskich, jak habry, figlarnych oczu szesnastoletniego dziewczęcia.

— Czy Stasio już śpi? — zapytała, stojąc u progu.

— Położył się przed chwilą.

— A pan był w domu przez cały wieczór?

— Tak, panno Jadwigo.

— I nie był pan dziś w teatrze? — zapytała bardzo zdziwiona. Cóż panu stanęło na przeszkodzie? Mnie, bo jeszcze nie biorą nigdzie z sobą i nie pokazują nikomu, póki Lola nie będzie miała narzeczonego, lecz gdybym ja była mężczyzną, chodziłabym codzień do teatru. A pan dziś nie był — powtórzyła z rosnącem zdziwieniem.

— Nie, nie byłem.

— A wiesz pan, że to dziś dawano po raz pierwszy ową sławną tragedyę *Kleopatrę*.

— Wiem o tem.

— Jak to? Wiedział pan i nie poszedł na pierwsze przedstawienie *Kleopatry*? Wszak dziś całe miasto wybierało się do teatru.

— Nie mogłem być, gdyż musiałem Stasiowi pomódz do jutrzejszego egzaminu...

— Ah... prawda — dodała z westchnieniem. Co to za szkoda, że pan musi lekcye dawać. Lecz należało dziś koniecznie być w teatrze.

— Powetuję to sobie innym razem.

— Nie! — odrzekła — kiwając główką — pierwszego przedstawienia nie powetujesz pan nigdy.

— Dla czego? — zapytał łagodnie.

— Czy to pan nie wie? — odparła figlarnie. A ja tak prosiłam Boga, żeby sztuka miała powodzenie, żeby autora wywołano i zasypano kwiatami...

— O ile słyszałem, to podobno do tej pory nie wiadomo, kto jest tej sztuki autorem.

— Tak i ja słyszałem, lecz czasami miewam jakieś dobre przeczucie, z powodu czego lubię bardzo autora *Kleopatry* i życzę mu tak, jak tylko najlepiej komuś życzyć można. A wierzaj, panie Gustawie — dodała, nie spuszczając z niego oka — że mówię prawdę szczerą.

— Zdaje mi się, że rodzice pani powrócili już z teatru — odrzekł Gustaw, zmieniając przedmiot rozmowy.

Jadwiga odstąpiła ode drzwi i stanęła w korytarzu, przysłuchując się głosom dochodzącym z salonu.

— A tak... dodała po chwili — słyszę głos mamy, Loli... i goście jacyś się zebrali. Zapewne z teatru. Jest i Marek Aureliusz... poznaję go po głosie... i hrabia Zyzio... to Lola musi być zadowolona... i pan Agaton, to znowu Marek Aureliusz będzie w kwaśnym humorze... Trzeba uciekać, mama gotowa się gniewać, że ja nie śpię jeszcze; więc dobranoc, panie Gustawie, dobranoc.

— Dobranoc, panno Jadwigo.

Panna Lola z rodzicami i gośćmi wróciła rzeczywiście z teatru, z pierwszego przedstawienia *Kleopatry*.

Było to widowisko jedno z najświetniejszych w bieżącym sezonie teatralnym.

ły się ich windykacyą sądową, takjak gdyby mi wcale nie były odstąpione. Listowne zawiadomienie mnie, że te i te wierzytelności przeszły na moją własność, będzie dla mnie wystarczającem.“ Żaiste, natrętny, nieznużony, nieszanujący spokoju dobroczynnego sanhedrynu p. R. postawił Towarzystwo w kłopotliwem położeniu. Bo wobec zwolnienia od odpowiedzialności materyalnej, pozostaje do ratunku przeciw nieproszonym usługom jedynie moralna, która w towarzystwie pierwszej utrzymać się mogła, ale sama zdradzi swą kulawiznę i wyglądać będzie poprostu jako *stat pro ratione voluntas*.

Z tego nieszczęścia wybawić i przeciw atakom zasłonić mógłby Towarzystwo Dobroczynności tylko... brak naśladowców p. Rosenbluma. Jeżeli więc ono chce wytrwać na swem stanowisku, musi się starać, ażeby gotowych do skupowania rat wielu się nie znalazło.

Jest jeszcze inna droga, mianowicie: zgodzić się na myśl zasiłków zewnętrznych, uregulować je odpowiednio, słowem — pomyśleć, popracować, pokrzątać się, ale to przechodzi siły t.j. chęci nawykłych do łatwego kwestowania dobrodziejów.

Musimy więc uszanować ich rozpaczliwy opór.

PSYCHOLOGIA

w ekonomii politycznej.

I.

(Teorya wartości.)

Nie mówiąc o naszej literaturze, która pod tym względem jest dziwnie ubogą, nawet w zagranicznej rzadko spotykamy książki i broszury, ukazujące nam sprawy gospodarstwa społecznego z nowej strony. Od czasu jak socyalizm przeniknął nawet do tych teoryj, które się przed nim najbardziej obwarowały, myśl ekonomiczna pracuje ciągle nad ustosunkowaniem kapitału do pracy. To też niezwykłem zjawiskiem w tej dziedzinie jest rozprawa G. Tarde'a, pomieszczona w *Revue philosophique*, a zajmującą się niedotykanem dotąd zagadnieniem — psychologią w ekonomii politycznej.

Autor oświetliwszy główne szkoły tej nauki, zwraca się do tej, która swój system oparła na pragnieniach.

Pragnienie — mówi on — staje się ekonomicznem wtedy jedynie, gdy polega na wytworzeniu czegoś lub pracy przeznaczonej dla kogoś, albo wreszcie na użyciu rzeczy lub pracy czyjejś. Pracować jednak lub wywłaszczać się dla kogoś jest to być przez niego użytkowanym; kazać komuś pracować lub go wywłaszczać jest to spożytkowywać go. Użytkować zaś z czegoś lub kogoś jest nabywać. W każdym więc stosunku ekonomicznym zachodzi nabycie człowieka przez człowieka, nabycie jednostronne lub wzajemne, niewolnictwo i kradzież lub stowarzyszenie i praca. Pierwszy zatem rabuś, który uprowadził krowę swemu sąsiadowi, pierwszy wojownik, który zabrał jeńca do niewoli, stworzył ekonomię polityczną, nie wiedząc o tem. Ideałem wszakże ekonomicznym jest wzajemność, a co większa — równoważność wzajemnych nabytków. Chodzi też głównie o to, o ile się oddalamy lub przybliżamy do tego ideału, czy usługi lub produkty wzajemnie się równoważą. Stąd wynika potrzeba i użyteczność dobrej teoryi wartości. Z tą właśnie teoryą według wywodu Tarde'a poznajomimy czytelnika.

Cóż to jest wartość? czem różni się od ceny i prostej użyteczności? Pytanie ogólne i mgliste, pełne wątpień. Odpowiadając na nie, ekonomiści z ich sławnemi określeniami podaży i popytu, pracy i kapitału, utworzyli więcej nazw, niż wykryli jasnych pojęć. Teraz już mówimy o *prawie* podaży i popytu dla... wygody pamięci. Paweł Leroy Beaulieu naśmiewa się z niego niemało w swem ostatniem dziele. Jeszcze przed czterdziestu laty Cournot pogrzebał je *incognito*. Czyż będziemy mówili jeszcze o teoryi Bastiata, stosunkującej wartość do usługi oddanej? Usługa oddana—to raz oszczędzony wysiłek, to znów dostarczona przyjemność; a zanim zestawimy te dwa pojęcia wysiłku i przyjemności, należałoby pierwej wykazać, co one mają między sobą wspólnego. Czy z Millem ustanowimy kilka grup produktów i dla każdej z nich sformułujemy odpowiednią zasadę wartości? Mill, chociaż myśliciel głęboki, w tym względzie jest niedokładny, zwłaszcza w swych uwagach o wpływie zwyczaju na cenę, i sam nawet uważa wpływ ten za anomalię, która powinna zniknąć.

Sprobujmy na swój sposób krok za krokiem zrozumieć znaczenie wartości. Przedewszystkiem wartość pewnego przedmiotu zależy: 1) od stopnia przekonania, z jakiem mu przyznajemy zdolność zaspokojenia pewnej potrzeby lub zadowolnienia chęci; 2) od stopnia pożądania, z jakiem przenosimy go nad inne. Tak n. p. cena hektara bardzo mało pożądanych gruntów w Ameryce wynosi około 16 fr.; podczas gdy łokiec kwadratowy placu w środku wielkich miast europejskich płaci się do 2.000 fr. Tak samo jedynie stopień pożądania podnosi wartość tytułów honorowych, które, nieupragnione, nie mają żadnej wartości. To zarazem wyjaśnia spadanie i podnoszenie się kursów pieniężnych.

Każda rzecz wogóle, martwa czy żywa, wywołująca w wielu osobach pragnienie specyalne, ma wartość w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu. Znaczenie jednak ściśle wskazuje, że rzecz ta lub osoba jest do sprzedaży lub wymiany i że cena wymienna jej zależy od współzawodnictwa nabywców, którzy jej wartość podnoszą dopóty, aż się znajdzie ktoś, co ją nabędzie. Cena tak powstała jest ceną normalną.

Po takiem ustaleniu się ceny, mniejsze lub większe pożądania w sprzedaży ekonomistę nie obchodzą. Wytwórca przed postawieniem swej ceny ma na widoku owe zwykłe pragnienia, ową chęć nabycia, która pociąga do jego towaru. Gdyby zdołano wynaleźć ciepłomierz ogólny pragnień ekonomicznych, nie byłoby targowania się, które jest tem mniejsze, im lepiej poinformowani są wytwórca i nabywca. Pierwszy w miarę większego żądania będzie produkował więcej, tak iż właściwie współubieganie się nabywców nie wpływa na cenę, pomimo przeciwnego, bardzo upowszechnionego przesądu. Liczba tych, którzy *mają chęć* nabycia danej rzeczy, wpływa zaledwie bardzo pośrednio na cenę; daleko więcej oddziaływa tu różność ich majątków, pragnień i pobudzenia umysłu przez współzawodnictwo i współubieganie się. W najmniejszem państewku różnorodność tych warunków wpływa niekiedy na bardzo znaczne wygórowanie cen przedmiotów. Jeżeli np. rzadkie książki, tak zwane białe kruki, płacą się bardzo drogo, to nie dowodzi, że się o nie współubiegają masy bibliomanów, lecz że jest kilku, bodaj dwu najbogatszych, którzy się podkupują. Ama-

---

Długo rozciekawiana publiczność zajęła wszystkie miejsca bez wyjątku, a była to po większej części publiczność wykwintna i wyborowa.

W wielu lożach panie zjawiły się z bukietami w rękach, zawczasu przytowanemi dla autora nowej sztuki, którym według ostatnich, a może najprawdziwszych domysłów, miał być jeden z najcenniejszych, znanych poetów.

Literaci i krytycy z urzędu włożyli frak czarny, krawat biały i jasne rękawiczki, ażeby dać poznać wszystkim, że oni jedni powołani tu są do głosu i jedni sądzić umieją.

Hrabia Zyzio lornetował wciąż do loży, w której znajdowała się wraz z rodzicami piękna panna Lola, a skąd otrzymywał pełne wdzięku i znaczące uśmiechy.

Nareszcie podniesiono zasłonę... Widowisko rozpoczęło się...

Z natężoną uwagą publiczność słuchała tego tak zachwalanego utworu, lecz po pewnym czasie widocznie niecierpliwić się poczęła. Znać było, że wszyscy doznawali zawodu. Akcya sztuki wlokła się leniwo— sceny pojedyncze były mało ożywione — dyalogi zdawały się zbyt długie. Krytycy spoglądali na siebie ze zdziwieniem. Lecz ukazanie się Antoniusza i Kleopatry ożywiło wszystkich odrazu, a scena, jaką odegrali ci sławni w świecie kochankowie, stanowiła wspaniały, erotyczny poemat. Wywołała ona przeciągły grzmot oklasków i z góry orzec można było, że sztuce zapewniła wielkie powodzenie. Jakoż od tej pory sytuacye w sposób zajmujący poczęły wywijać się jedne z drugich, a wszyscy słuchali scen i aktów dalszych z zajęciem niezmiernem. Uczucia podniosłe, przyobleczone były w formę wiersza wytworną, która wpadała w ucho słuchacza dźwięczną muzyką, intryga oryginalnie pomyślana wzbudzała ciekawość coraz bardziej rosnącą — a w końcu, w chwili rozpacznego z życiem doczesnem pożegnania pięknej królowej Egiptu i tragicznej jej śmierci,— suchego oka nie było w teatrze.

Zasłona zapadła po raz ostatni.

I stała się rzecz niezwykła w rocznikach tej sceny.

Publiczność bardzo surowa dla znanych i wytrawnych autorów, okazała sympatyę i zapał wielki dla nieznanego i niewiadomego pisarza, który podbił jej serca utworem, nacechowanym podniosłą i poetyczną treścią. Po zapadnięciu zasłony w sali teatralnej panowała cisza głęboka. Wszyscy widocznie byli pod wrażeniem poematu, który, jak wstęga cudowna, roztoczył przed widzami jakiś czar niewypowiedziany, zapalił serca i wyobraźnię... Ciszę chwilową przerwały też w krótce oklaski burzliwe, okrzyki wielkiego zapału...

Panna Lola słuchała całej sztuki z gorączkowem natężeniem. Były tam sceny, które wzruszyły do głębi tę kobietę z charakterem dumnym, ambitnym; były ustępy, które promieniem świetlanym po raz pierwszy przenikać poczęły do jej młodego, lecz jak głaz zimnego serca. Dusza, do tej chwili drzemiąca, ocknęła się pod urokiem niewidzianego dotąd świata, niedoświadczanych uczuć, nienapotykanych ludzi, którzy potrafili żyć, ażeby tak kochać, i kochać, by tak cierpieć i umierać. Wychyliwszy się z loży z całych sił klaskała i łącznie z wszystkimi autora wywoływać zaczęła. Gdy zaś znów podniesiono zasłonę, ona pierwsza rzuciła na scenę swój bukiet świeżych kwiatów, za którym posypało się kwiatów i bukietów wiele.

— Autor! autor! rozlegały się przeciągłe i głośne okrzyki — lecz przed widzami ukazała się tylko zmartwychwstała Kleopatra, pierwszorzędna tej sceny aktorka, która oznajmiła, że autor *Kleopatry* dotychczas nieznanym jest nikomu i że kwiaty, rzucone na scenę, odbierze niezawodnie, jeżeli po nie zgłosić się zechce.

Publiczność niezadowolona nieco z nierozwiązania tej zagadki, poczęła, szemrząc, rozchodzić się do domów, a wkrótce i panna Lola znalazła się wśród kosztownych i zbytkownych sprzętów salonu rodzicielskiego.

tor, dający najwyższą cenę, przed zdecydowaniem się na nią, musi szybko przed oczami swemi przesunąć obraz wszystkich kaprysów, które chce zaspokoić, zważyć je mimowiednie na niewidzialnych szalach swoich chęci, a wreszcie odczuć, że żądza posiadania danego przedmiotu w jego umyśle przeważyła.

Jeżeli, jak dowodzi Leroy Beaulieu, nasz rozwój społeczny dąży do zupełnego zrównania godności i majątków, do zatarcia rysów plemiennych i krajowych, do ujednostajnienia zajęć, ułatwienia podróży, wszystko to musi upodobnić gusty, żądze, a nawet kaprysy. Wpływ przeto nawet pośredni współubiegania się nabywców byłby czynnikiem stopniowo malejącym, aż wreszcie postęp usunąłby zupełnie jego działanie, i ostatecznie nadszedłby dzień, w którym wystąpiłaby w całej pewności prawda, że wartość rzeczy określa rozwaga wewnętrzna pragnień i oceny przedmiotów rozmaitych.

Łatwo sprawdzić, że wszystkie wielkie objawy ekonomiczne, jak obniżanie się dochodu z gruntów i wogóle zysków z wszelkich położeń uprzywilejowanych, rolniczych i przemysłowych, spadanie stopy procentu skutkiem mniejszej produkcyjności kapitału, podwyższanie się płac zarobkowych i t. p. dążą do wielkiej niwelacyi warunków ekonomicznych, podobnie jak zwykłe przejawy geologiczne, spłukiwania gór, zapełniania dolin, zamulania dna morskiego wyrównają powierzchnię globu. Mimo wszakże tej ogólnej dążności do niwelacyi, tu i tam wystrzela z łona ziemi nowa góra, wydobywa się na wierzch jakiś Cezar, założyciel nowej dynastyi, opatrzony naramionach improwizowanej arystokracyi. Zresztą uczucie, będące duszą i podporą wszelkiej arystokracyi, mianowicie cześć dla powodzenia, nie zdaje się wcale maleć. Przytem zważyć należy, że cechą każdej cywilizacyi postępującej jest dostarczanie przedsiewzięciom jednostkowym wzrastającej łatwości nagłego i zupełnego tryumfu.

Nic przeto nie jest mniej prawdopodobnem, jak zupełne wyrównanie godności, majątków i pragnień. Nierówność wszakże majątków i umysłów nie przeszkadza bynajmniej ustalać się cenie normalnej przez *współzawodnictwo psychologiczne* pragnień i przekonań, a nie przez współzawodnictwo kupujących.

Pomyślmy teraz, jaki wpływ na ustanowienie cen wywiera *współubieganie się wytwórców, sprzedawców*? Czy prawda, że ono je obniża do ostatecznej, przez najmniejszy koszt wytworu przedmiotów jednorodnych określonej granicy, tak że temu kresowi ostatecznemu odpowiadałaby jedynie cena stała, normalna, cena właściwa? Nie. Bez wątpienia, przypuściwszy, że wszelkie przywileje rolnicze i przemysłowe są zniesione, że żaden przedmiot nie będzie się znajdował w ilości ograniczonej, że wszystkie produkty mogłyby doskonalić się bez powiększania się kosztów ich wytworu, że zdolności przedsiębiorców, zręczność robotników, że środki fabrykacyi byłyby podobne i równe, a wszelkie ulepszenia jej upowszechnione, natenczas, po urzeczywistnieniu się śmiałej hipotezy, współzawodnictwo wytwórców *mogłoby* doprowadzić ceny niemal do kresu wyżej wzmiankowanego. Ale pocóż przypuszczać tyle niemożebności naraz? Z chwilą zbliżania się owego ideału ekonomistów, ujrzelibyśmy wielkie magazyny, rodzaj wielorybów handlu, które pochłonęłyby wszystkich drobnych wytwórców. Cóż obchodzi nabywcę większa lub mniejsza ilość wysiłku włożona w dany towar? Wysiłek ten *był* pragnieniem już nieistniejącem. Przekonanie o jego użyteczności było mniemaniem, które zniknęło. Mówmy jedynie o rzeczywistem pragnieniu posiadania czegoś, o przekonaniu istotnem, że pewien przedmiot da korzyść. Oto źródła i podstawa wartości. W mieście domy stare, których budowa daleko mniej kosztowała niż nowych, wynajmują się i sprzedają równie drogo a nawet drożej, jeżeli są położone w środku miasta. Ziemie najłatwiejsze do uprawy sprzedają swe płody równie drogo jak te, których uprawa była najkosztowniejsza.

Monopoliście lub wynalazcy patentowanemu dość byłoby *odczytać w jednem sercu tylko* stosunek upragnienia jego wyrobu, aby go poznać we wszystkich innych sercach. *Pragnienie nabycia* jest do pewnego stopnia resztą odejmowania t. j. przewagą *chęci posiadania* nad żalem pozbawienia się pieniędzy, które trzeba zapłacić. Występuje tutaj pragnienie dodatnie i ujemne, z których jedno zobojętnia wcześci drugie, przynajmniej przez czas jakiś, albowiem po kupnie zapominamy o pieniądzach wydanych, podczas gdy widok przedmiotu nabytego podtrzymuje w nas ciągle pragnienie posiadania, którego siła się odsłania.

Powiedzieliśmy już, że prawdziwe współzawodnictwo, którem ekonomiści teoretycy powinni się zajmować, nie jest współzawodnictwem pomiędzy spożywcami i wytwórcą, lecz pomiędzy rozmaitemi pragnieniami oraz przekonaniami konsumentów o użyteczności przedmiotu. Sprowadzić wszystkie zagadnienia ekonomiczne do *równania* pragnień i przekonań — oto nasza metoda.

(D. c. n.)

S. Cz.

PRAWA CYWILIZACYI.

Otto Henne-am-Rhyn, autor obszernej historyi cywilizacyi ogłosił świeżo (w *Unsere Zeit*) ciekawą pod powyższym tytułem pracę, która, jako głos tak poważnem imieniem naznaczony, zasługuje na uwagę. Chociaż autor jest wstrzemięźliwym w wypowiadaniu stanowczych sądów, objawia jednak wybitną dążność do samodzielnego stanowiska, różnego w szczegółach, identycznego w głównych podstawach z innymi badaczami.

Zastanawiając się nad stanem ogólnym nowej gałęzi historycznej, znanej pod nazwą historyi cywilizacyi, przechodzi dzieje jej powstania i stosunku do „historyi,“ pod którą rozumiano dawniej opowieści polityczne i państwowe narodów, wyłączając z nich losy przemysłu, literatury, sztuki i t. d.

Gdy przed 40 laty Wachsmuth i Klemm wystąpili z pierwszemi próbami dziejów cywilizacyi, historycy unikali troskliwie wszelkiego związku z nowemi teoryami. Dopiero Schlosser a za jego przykładem inni przyłączyli do politycznej historyi — jako uzupełniające, lecz luźne dodatki — niektóre szczegóły z innych dziedzin życia.

Przed 20 laty Buckle nadał nowy zwrot tej gałęzi. W znanem swem dziele znakomity ten badacz usiłował unaocznić historyę panujących idej, pomijając rozwój czynów człowieka, oprócz swą historyę na pewnych, nieoddmiennych „prawach,“ a szukał ich w statystyce, która wykazuje „powtarzanie“ się pewnych zjawisk. Wytworzył on szkołę historyków, która wsparta na teoryi Darwina twierdziła, że dzieje cywilizacyi są częścią historyi przyrodniczej, że w nich niema postępu, lecz istnieje „rozwój naturalny,“ wolny od ideałów.

Gustawa zaciekawiło trochę towarzystwo tego wieczoru w salonie zebrane, wejść jednakże nie śmiał, lecz usiadł niepostrzeżony w przyległym gabinecie, gdzie dochodziły go bardzo wyraźnie głosy prowadzonej rozmowy. Niewidziany, nie widział też nikogo; tylko przez uchylone nieco drzwi salonu dojrzał wiszący na ścianie znacznych rozmiarów obraz jednego z mistrzów szkoły włoskiej, przedstawiający śmierć gladyatora.

Rozmowa naturalnie toczyła się o *Kleopatrze*.

— Śliczna sztuka! — odezwał się Krezus — widzicie państwo, jak to miłość zaraz inaczej się przedstawia, gdy ją wezmą w ręce takie potęgi finansowe...

— Kiedy finanse Kleopatry były w opłakanym stanie — wtrącił z uśmiechem hrabia Zyzio — mimo to sztuka bardzo piękna.

— Wspaniała! — rzekła z zapałem Lola. Zgadza się pan ze mną, panie Agatonie?

Poważny krytyk poważnego dziennika podniósł dumnie głowę, spojrzał na pannę Lolę i milczał. Zdanie swoje chował on do artykułu, mającego się pojawić na kilku kolumnach *Dzwonu*. Zamierzał wysłuchać zdań wszystkich dzienników i dopiero na sam koniec wypowiedzieć swoje własne, od wszystkich innych odmienne. Uważał on, że społeczeństwo, ze względu na okoliczności towarzyszące wystawieniu *Kleopatry*, wymaga od niego krytyki wyczerpującej, z filozoficznym wstępem i oryginalnem zakończeniem. Krytykę tę zamierzał nawet, co czynił dość rzadko, podpisać całem imieniem i nazwiskiem. Tak postępował w pewnych chwilach stanowczych, gdy uważał, że stanowisko krytyki krajowej było zagrożone, tak też zamierzał uczynić i z oceną *Kleopatry*. Nie wyjawiał więc swego zdania, tylko na natarczywe zapytania panny Loli odrzekł, cedząc słowa przez zęby:

— Tak... o tem da się wiele powiedzieć.

— Wiele? rozumie się, że wiele — zawołała pannna Lola. Krytykować jest łatwo, lecz czy ktokolwiek z panów mógłby napisać choć jeden taki ustęp, jakich tam jest tyle. O! gdyby do mnie kto tak przemawiał, jak do Kleopatry mówił jej kochanek, gdyby mnie kto tak przywoływał, jak on ją w akcie trzecim, to dla takiego człowieka wyrzekłabym się pewno wszywszystkich zaszczytów i dostatków świata, by z nim przeżyć choć jedną taką godzinę, jak oni tam przeżyli!...

Obecni podziwiali niezwykłe ożywienie i zapał panny Loli; a Krezus zauważył, że córka jego wydatkuje tego zapału pewien znaczny kapitał, z którego procentu dorachować się nie mógł, zaś Marek Aureliusz dodał pod nosem:

— Tak, to ładna scena — tylko, o ile mi się zdaje, przepisana wprost z Szekspira.

— Z Szekspira?! — zawołała z oburzeniem panna Lola,— to być nie może; zresztą łatwo sprawdzić, mam Szekspira w mej bibliotece, przyniosę go zaraz.

I prędko wyszła z salonu, a po chwili tuż, w przyległym gabinecie, zbliżył się do niej blady, chwiejący się Gustaw.

— Panno Lolo!... — wyszeptał po pewnem milczeniu, drżącym od wzruszenia głosem!...

— Kto tu jest?... — zawołała przestraszona.

— To ja! — odrzekł zmięszany.

— Pan Gustaw? — zapytała głosem wyniosłym.

— To ja... pani... który słyszałem wszystko, coś przed chwilą mówiła... Ja, który padam tu przed tobą na kolana... Ja do ciebie stokroć lepiej, czulej i serdeczniej przemawiać będę, aniżeli Antoniusz na scenie przemawiał... Ja, o czem nikt dotąd nie wie, ja... napisałem *Kleopatrę!*... Jak ją Antoniusz, tak ja przywoływałem ciebie we wszystkich snach i marzeniach, we wszystkich myślach i czynach moich... Tyś królową, a ja twym niewolnikiem; tyś bóstwem, a ja twym najgorliwszym kapłanem!... Przed twym ołtarzem pielęgno-

Otóż Henne-am-Rhyn polemizuje z tą szkołą, a nie odpierając teoryi jej mistrzów niczem innem, tylko rzuceniem wielkiej zagadki przyczyny rozwoju ludzi w przeciwstawieniu do zwierząt, wygłasza swą wiarę w istnienie ducha ożywczego, przenikającego wszechświat, nienależącego do dogmatów religijnych ani też do pojęć mistycznych lub spirytualistycznych.

Przyjąwszy istnienie owego ducha i na nim się opierając, daje autor następującą definicyę historyi cywilizacyi: są to dzieje zmian i stosunków ludzkości, niedających się wyjaśnić prawami natury i powstałych po za ich obrębem jako twórcze (cultum). Pomniejsze, zwykłe, codzienne zjawiska wypełniały ramy takiego obrazu. To zapatrywanie wyjaśnia autor na przykładach: n. p. powstanie ognia zalicza do dziejów cywilizacyi, a każe pomijać bliższe szczegóły sposobu gotowania, opału, oświecenia i t. d.

Następnie mówiąc o dwu czynnikach filozofii: duchu i przyrodzie, popada w metafizyczne rojenia, umieszcza ducha to w słońcu, to znów w mgławicach gwiaździstych lub twierdzi, że człowiek jest dzieckiem światła, wieczności i t. p.

Na pytanie: skąd pochodzi ludzkość? H. a. R. w odpowiedzi odrzuca naturalnie teoryę Darwina, nie uzasadniając przyczyn i skłania się ku przyjęciu „raju.“ Czyni to zaś dlatego, że spotyka dziwną zgodność stosunków rodzinnych, ubiorów, mieszkań, zwyczajów i obyczajów w pewnych epokach cywilizacyjnych. Zgodność tę tłomaczy on wspólną kolebką pochodzenia, zostawiając na uboczu, jako kwestyę drugorzędną, różnicę kształtu czaszek, barwy skóry, obrostu i języka. Załatwiwszy się w ten wygodny sposób z całą kraniologią, etnologią, etnografią, lingwistyką i t. d., szuka edenu i znajduje go w Pendżabie i Kaszmirze. Bo, według niego, pierwotny człowiek, pozbawiony okrycia, narażony na zmiany atmosfery, mógł się rozwinąć tylko wśród sprzyjających warunków, a te znajdują się w owych siedzibach, które przytem stanowią linię graniczną dla kilku ras i języków.

Nie uznając, jak rzekliśmy, różnicy ras, autor rozróżnia narody na podstawie cywilizacyi, historyi i języka, chociaż i ten podział szwankuje niejednokrotnie: pokrewne bowiem sobie ludy wyrobiły odrębną cywilizacyę n. p. holendrzy i anglicy wobec niemców. Różnice istniejące powstają pod wpływem odmiennych warunków bytu. Tu znów puszcza autor wodze swej fantazyi i rozprawia o zmianach w razie prostopadłego kierunku osi naszej ziemi.

Warunki zewnętrzne zmuszają człowieka do ustawicznej walki z naturą i właśnie tym walkom zawdzięczamy wszelkie dobrodziejstwa kultury, objawiające się w postępie, który jest widoczny w każdem zjawisku dziejów ludzkości i natury. I oto mamy pierwsze zasadnicze prawo historyi cywilizacyi: nieustanny postęp. Odmienne warunki istnienia powodują, że niektóre narody rozwijają się korzystniej i w krótszym czasie, inne opóźniają swój pochód, lecz wszystkie dążą naprzód. Ze wszystkich ras najwyżej posunęli się aryowie, podczas gdy n. p. semici, którzy zresztą są nam najbliżsi, nie wytworzyli nigdy tak obszernego związku różnorodnych ludów, zespolonych z sobą dążeniami, religią, przemysłem, sztuką, wiedzą i zorganizowanym systemem państwowym. Każda z gałęzi semickich miała swą epokę rozkwitu, ale tylko aryowie skojarzyli narody pod hasłem prawa międzynarodowego i wzajemnej wymiany płodów literatury i sztuki.

Ponieważ autor fizycznemu położeniu kraju przypisuje największy wpływ na rozwój postępu, przeto drugiem prawem cywilizacyi będą warunki geograficzne; mianowicie: im kraj jest bardziej jednolitym, oddalonym od morza, i posiada klimat mniej umiarkowany, t. j. zbyt gorący lub zimny, żyjące w nim ludy są mniej czułe na rozwój cywilizacyi.

Oba te prawa zostają w ścisłym związku z sobą i skłaniają autora do przyjęcia trzech stopni rozwoju cywilizacyjnego.

Pierwszy obejmuje ludy osiedlone na obszernych płaszczyznach lądu stałego, oddalonych wyspach, w klimacie bardzo gorącym albo bardzo zimnym. Na ludy te oddziaływa przyroda silniej, aniżeli one na nią. Nie posiadają wiedzy i sztuki, systematycznej religii, bóstw o wybitnej charakterystyce i państwa zorganizowanego. Tu należą krajowcy południowej i zwrotnikowej Afryki, Australii, wysp położonych pomiędzy Australią i Ameryką, następnie wysp amerykanskich, z wyjątkiem peruwiańczyków i meksykanów, wreszcie ludy północne Ameryki, Azyi i Europy.

Drugi stopień, jako pośredni pomiędzy pierwszym a trzecim, posiada mniej wyraźne rysy. Do niego zaliczyć należy ludy, które się wzniosły po nad stan poprzedni, oraz te, które za wpływem narodów trzeciego rzędu doszły do wyższego rozwoju cywilizacyi. Tu należą meksykańczycy, peruwianie, malaje, drawidowie z Ceylon i Indyj, mongołowie, mandżurowie, turcy, maurowie, etiopi, fulbowie z Sudanu, madziarowie i finnowie. Zbliżają się do tego stopnia resztki ludów, które, pozbawione wyższej cywilizacyi, popadły w barbarzyństwo, jak fellahowie, kurdowie, albańczycy, czerkiesi i inni.

Do trzeciego stopnia należą ludy, osiedlone w klimacie północno-umiarkowanym, południowo-wschodniej i południowej Azyi, północno-wschodniej Afryki i prawie całej Europy. A więc: chińczycy, japończycy, indowie, medowie, persowie, asyryjczycy, babilończycy, fenicyanie, hebrajczycy, egipcyanie, arabowie, ormianie i aryjscy europejczycy, z ich koloniami.

Trzecie prawo cywilizacyi orzeka, że wzmaga się ona tam, gdzie poszczególne narody z sobą się łączą, a tem samem wzrok ich obejmuje szersze widnokręgi.

W dziejach jej rozróżniamy następujące związki:

1) Pokolenie, zajęte jedynie swemi materyalnemi potrzebami.

2) Lud, czujący swą łączność, dąży do rozgłośnej sławy i uszlachetnienia.

3) System oddziaływania ludu wyższego, w cywilizacyjnem znaczeniu, na niżej stojący—n. p. grecy swą kolonizacyą, rzymianie wojskowością.

4) Po upadku państwa rzymskiego spajało narody chrześciaństwo.

5) Związek powszechny czyli kosmopolityczny, wytworzony przez odkrycie Ameryki, drogę do Indyj, badania humanistyczne i reformacyę.

Czwartem prawem cywilizacyi jest fakt, że ludzkość kroczy do upodobnienia swych grup i stopniowego zatarcia różnic narodowych i rasowych.

Po określeniu tych praw przechodzi autor bardzo pobieżnie niektóre działy cywilizacyi, a mianowicie: pokarm, który w przyszłości ma się, według niego, ograniczyć do spożywania chemicznych, skondensowanych potraw; napoje, po wodzie i mleku, nastały spirytualne, a te wypiera kawa i herbata; dalej mówi ogólnikami o narkotykach, stroju, ozdobach, mieszkaniu, zatrudnieniach, życiu rodzinnem, o państwie, skłaniając się naturalnie ku socyalizmowi i konstatując fakt, że z rozwojem

---

wać będę zawsze światło i płomień miłości niepokalanej, gdyż ja ciebie stokroć więcej kochać potrafię, aniżeliby cię kochać mogli wszyscy aniołowie nieba i ziemi. Kleopatro jedyna! Kleopatro najdroższa!...

Potok tych słów ognistych przeraził pannę Lolę, lecz po chwili wprawił ją w podziw, a potem w pewien zachwyt niewytłomaczony. W umyśle uprzytomniły się nagle niedawno przed nią rozegrane wypadki na widowni słonecznej świata starożytnego. Myślą błyskawiczną przeniosła się tam... daleko... po nad palmy szumiące, po nad szmaragdowe świętego Nilu doliny, po nad piramid podniebnych szczyty, gdzie ją kapłanki przeczyste, wśród kwiatów i kadzideł wonnych, ukołysały pierwszym w życiu snem rozkosznym... idealnym... Pod urokiem tego złudzenia, jej postać dorodna pochyliła się nieco do klęczącego Gustawa, którego oczy czarne, wymowne, osadzone w twarzy bladej i wychudłej, zapatrzone w jej twarz efektowną, pałały niezwykłym, świętym ogniem uniesienia i zachwytu.

Lecz szybko, jakby z letargu ocknęła się, wyrwała się z pod tego czaru i wyszła zwycięsko z walki chwilowej dumna córka bogatego przemysłowca, spostrzegłszy we drzwiach utrefioną głowę hrabiego Zyzia. Z dumą i z szyderczym zarazem uśmiechem mierzyć poczęła drobną i niepozorną postać nauczyciela, który jej składał w ofierze wszystkie skarby duszy, całą istność swoją...

— Więc to pan, jak powiadasz, napisałeś *Kleopatrę* i śmiesz się we mnie kochać? — rzekła z nietajoną ironią. A to zabawne, prawda panie hrabio, że bardzo zabawne!... Komedya po tragedyi, to nie zdarza się tak często!...

I śmiać się poczęła głośno, śmiechem, który Gustawowi wydał się z piekła pochodzącym.

— To bardzo zabawne — dodała, klaszcząc w dłonie. Pójdźcie tu państwo, proszę i podziwiajcie — rzekła, zwracając się do gości, wchodzących z salonu. Oto natrafiłam na kogoś, który mi na klęczkach wyznał miłość, dotychczas niebywałą, kogoś, który się mieni być autorem *Kleopatry* — mówiła, wskazując wszystkim Gustawa, który zdrętwiały, nieruchomy jak kamień i zawstydzony, jak winowajca, klęczał, w dłoniach pogrążywszy oblicze.

Zwołani na to szczególne zjawisko przypatrywali mu się ciekawie. Krezus schwycił się z giestem rozpacznym za głowę, jak to czynił przy każdej, niezbyt szczęśliwej operacyi finansowej, a hrabia Zyzio złośliwie odezwał się do Loli:

— Winszuję pani tryumfów i tego wielbiciela.

— Dobry jest ten ojciec Kleopatry — rzekł Marek Aureliusz.

— A dobry—powtórzyli wesoło wszyscy.

— Udał się!... — dorzucił jeszcze Marek Aureliusz.

— Udał się, udał!—powtórzyli znów wszyscy i śmiać się poczęli chórem a serdecznie.

Gustaw czuł, że siły opuszczać go zaczynały, że w oczach robiło mu się ciemno, a w głowie grało coś nakształt muzyki rozhukanych żywiołów morskich. Przez pewien czas stracił pamięć tego, co zaszło i tego, co się w około niego działo, a gdy po chwili podniósł zwolna, ciągle w dół spuszczoną głowę i wzrok jego padł na umierającego gladyatora, zdało mu się, że śmiech, który rozlegał się szeroko, to śmiech w Neronowym cyrku, gdy gladyator upadał, tyle w nim odczuł zgrozy strasznej i śmiertelnej. Zdobywszy się na ostatnie wysiłki, wstał nagle z miejsca i jak szalony wybiegł z tych złocistych salonów, aby do nich nigdy nie powrócić...

Śmiech ten przez całe życie dźwięczał mu może pieśnią szatańską, a kwiaty, które rzucono na scenę, zwiędły wkrótce nieodebrane przez nieznanego, czy też wyśmianego autora *Kleopatry*...

El—em.

KONIEC.

cywilizacyi zmniejszają się zabory a powiększają się kolonie; wreszcie o sztukach pięknych i wiedzy.

Wreszcie wspomina o religii i sądzi, że ludy pierwszego stopnia wyznają przesądy (*Aberglauben*) a trzeciego wierzą (*Glauben*); z rozwojem cywilizacyi rośnie skłonność i dążność do rozbratu z wyznawaną religią; dalej, że żadna z dzisiejszych religij nie jest tak silnie wstrząśniętą i zachwianą w posadach jak chrześciańska, w końcu, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miejsce religii zajmie kiedyś... wiedza.

Oto najnowszy pogląd na dzieje cywilizacyi i najnowsza formuła jej praw. Czytelnik widzi pasowanie się autora z niepokonanemi trudnościami zadania, ale widzi także, że jeśli ich zwyciężyć nie może, przynajmniej zapisuje się na abonament dobrej nadziei i wróżby.

A. G.

WOLNA WOLA
i mechaniczne jej skutki.

I.

W czerwcu r. b. Delboeuf miał w brukselskiej Akademii Nauk odczyt o mechanicznych skutkach wolnej woli. Przedmiot ten, ze względu na swą ważność filozoficzną, zawsze zasługuje na uwagę, jeśli jest tylko opracowany sumiennie, bez fanatycznego uwielbienia dla tej lub owej filozoficznej komendy. Jakkolwiek Delboeuf wyznaje otwarcie, iż jest zwolennikiem teoryi woli wolnej, zdołał jednak wznieść się na stanowisko nienamiętnego badacza i wyłożył myśli swoje w sposób tak niepodobny do amatorskiego zagłębiania się w rodowód naszych pragnień i pożądań, że już sama orginalność i świeżość stosowanej przezeń metody tłomaczą racyę poznajomienia z jego stanowiskiem w tym przedmiocie czytelników *Prawdy*.

Du Bois-Reymond w jednej ze swych wspaniałych lekcyj wygłosił następujące zdanie: „Możemy sobie wyobrazić ogół nauk przyrodniczych jako jedną wielką formułę matematyczną, jako zbiór niezmiernie wielkiej liczby równań różniczkowych, określających położenie, prędkość i kierunek każdego atomu wszechświata dla każdej chwili czasu.“ Też samą myśl Laplace wyraża nieco inaczej. „Gdyby istniał umysł, któryby znał dokładnie wszystkie siły, ożywiające naturę, któryby wiedział o położeniu każdej istoty wszechświata; gdyby nadto umysł ten był tak potężny, żeby te dane zdołał poddać analizie matematycznej i zawrzeć w jednej olbrzymiej formule, obejmującej zarówno ruchy największych brył wszechświata, jak i najlżejszych atomów, wówczas *niepewność* nie istniałaby wcale, przyszłość i przeszłość dla umysłu takiego byłyby równie jasne, jak teraźniejszość. Doskonałość, do jakiej człowiek doprowadził astronomię, daje nam słaby obraz tego rodzaju umysłu.“ Jak astronom potrzebuje tylko podstawić w równanie, określające ruch księżyca, pewną wartość *na czas*, aby się przekonać, czy rzeczywiście w Pireus było zaćmienie słońca podczas wyprawy Peryklesa, zupełnie tak samo należałoby w równaniu wymarzonem przez Laplace'a podstawić tylko pewne określone dane, aby się przekonać o najbardziej zawiłych i tajemniczych faktach minionej historyi politycznej. Równie łatwo i ściśle z formuły takiej możnaby wyczytać dzień i minutę, w której znamię krzyża zabłyśnie na kopule św. Zofii, lub też określić chwilę, w której Anglia spali ostatni kawałek węgla kamiennego. Podstawiwszy w owej formule zamiast czasu nieskończoność odjemną (— ∞), otrzymalibyśmy tajemniczy początek wszechrzeczy: widzielibyśmy w nieskończonej przestrzeni materyę, albo już w ruchu będącą, albo też nierównomiernie rozłożoną. Zwiększając coraz bardziej wartość czasu, otrzymalibyśmy w ostatecznym wyniku ów lodowy i zimny spokój, jaki stanie się udziałem wszechświata na skutek prawa Carnot'a.

Ta nauka o bezwzględnem przeznaczeniu nie jest bynajmniej nową. Na niej to opiera się owa niezmierzona niemal liczba podań o rodach, skazanych na potworne zbrodnie, występne czyny, na nieszczęścia i zatracenie przez jakąś ślepą, nieubłaganą i ciemną potęgę; ona to nareszcie służy za podstawę bardzo wielu nowym i starożytnym systematom filozoficznym. Na niej także zbudował Leibnitz swą teoryę z góry określonej harmonii, ona to wypływa z wiary we wszechwiedzę bóstwa, ona nareszcie ma dziś największą liczbę zwolenników między fizykami i biologami. Jeśli teorya ta jest prawdziwą, w takim razie niecofniony niczem fatalizm ciąży nad przyszłością wszechświata, a *wolność woli* jest prostą słów igraszką. Człowiek, uważający się za wolnego, jest tylko ofiarą własnego złudzenia, a jeśli konsekwentne rozumowania posuniemy dalej, wtedy będziemy musieli przyznać, że nie ma ani prawdy, ani nauki. Wówczas bowiem każda teorya, którą dziś uznajemy za niedorzeczność, ta nawet, która broni wolnej woli, jest jednakowo usprawiedliwioną; każdy z nas, myśl każdego z nas jest w takim razie tylko odgłosem przeznaczenia.

Wolność woli, uważana jako *siła poruszająca*, daje się określić krótko: wywołuje ona ruchy, które nie wynikają z ruchów bezpośrednio poprzedzających; skutkiem tego działania jej przewidzieć nie można.

Spojrzyjmy na podróżnika, schodzącego z góry, i przypuśćmy, że strąca on w przepaść leżący na drodze kamień. Kamień ten toczy się, podskakuje, odbija o wystające skały — nareszcie zatrzymuje się. Jeżeli znamy formę kamienia, jego wagę, oraz kierunek i siłę pierwotnego rzutu, możemy z góry przewidzieć drogę, jaką on pobiegnie, oraz określić chwilę i miejsce, w którem się zatrzyma. Lecz któż zdoła wskazać drogę, jaką pójdzie podróżny i oznaczy miejsce, gdzie się zatrzyma? (Każdy — możnaby odpowiedzieć Delboeufowi — kto zna własność góry, oraz zamiary i usposobienie idącego. Biorąc rzecz praktycznie, łatwiej przewidzieć, co z sobą zrobi prodróżny, niż jak pobiegnie kamień).

Drugi przykład. Trzy ciała poruszają się pod wpływem pierwotnych prędkości i wzajemnych przyciągań. Analiza matematyczna pozwoli jeometrze określić położenie wzajemne wszystkich trzech ciał w każdej chwili. Żadna zasłona nie pokrywa tu przyszłości, możemy ją zobaczyć równie dobrze, jak widzimy chwilę obecną, jakeśmy widzieli przeszłość. Lecz jeżeli jedno z tych ciał będzie obdarzone wolną wolą; jeśli będzie posiadało możność posunięcia się na prawo, wówczas gdy prawa ruchu każą mu biedz na lewo, wtedy ruchu przewidzieć nie można. W chwili bowiem, w której rozpoczyna się działalność wolnej woli, zachodzą zjawiska, niespoczywające w tem, co się już stało.

Można tu postawić bardzo wiele pytań:

Czy wolna wola nie jest niemożebnością mechaniczną? czy nie przeczy ona zasadzie zachowania energii?

Jeśli jest możliwą, jakie będą jej skutki mechaniczne?

Czy istnieją istoty obdarzone wolną wolą?

W jaki one działają sposób?

Tymczasem zatrzymamy naszą uwagę tylko na dwu pierwszych pytaniach.

Jeden z lepszych matematyków, Boussinesq, był, zdaje się, pierwszym, który zagadnienie wolnej woli całkiem słusznie wprowadził na grunt mechaniki. Owoce swych rozmyślań zawarł on w obszernem dziele, najeżonem równaniami i formułami matematycznemi a zatytułowanem: *Conciliation du veritable détérminisme mécanique avec l'existance de la vie et de la liberté morale*. Za dzieło to uległ on surowej krytyce ze strony Bertranda, któremu odpowiedział w *Les Mondes* (1878). Bussinesq w rozwiązaniu kwestyi opiera się na pewnych dowolnościach ruchu, jakie przedstawiają niektóre określające go równania różniczkowe. Dla lepszego przedstawienia tego rodzaju dowolności weźmy ogólnie zrozumiały przykład. Wyobraźmy sobie, że punkt materyalny spada po linii prostej, która spadkiem swoim dotyka wierzchołka ostrokręgu. Dotrze on wtedy w swoim biegu do wierzchołka ostrokręgu i na nim się zatrzyma, pozostając w równowadze niestałej, z której następnie może wyjść i zsunąć się po powierzchni ostrokręgu w kierunku którejkolwiek z jego tworzących. Do wywołania tego skutku wystarczy jakakolwiek siła, działająca na ów punkt wówczas, gdy on znajduje się w równowadze na wierzchołku ostrokręgu. Wychodząc z podobnych przykładów, Boussinesq przedstawia sobie mózg, jako zbiór nieskończenie wielkiej liczby atomów, poruszających się po trajektoryach [1], na których znajdują się bardzo liczne punkty o ruchu nieokreślonym, t. j. takie, jakich przykład daje nam przytoczony powyżej wierzchołek ostrokręgu. Wolna więc wola, jako siła kierująca (*principe directeur*), niszczyłaby w nich nieokreśloność ruchu i popychała atomy w danym, ściśle oznaczonym kierunku.

Nie mam ani zamiaru, ani też nie czuję się dość zdolnym — mówi Delboeuf — do badania szczegółowo, czy rzeczywiste stosunki mechaniczne świata dają nam przykłady podobnego ruchu, gdzie by punkt, będący w biegu i znajdujący się pod wpływem ściśle określonych sił, znalazłszy się w pewnem określonem miejscu swej drogi, mógł, ni stąd ni zowąd, wybierać pomiędzy dwoma lub wieloma jednakowo możliwymi, dalszymi kierunkami swego biegu. Chociaż analiza matematyczna doprowadza nas do równań, przedstawiających taki właśnie ruch, wyznać jednak trzeba, że są one zwykle rezultatem wprowadzania do rachunku ilości urojonych lub innych jeszcze przypuszczeń, nieodpowiadających wcale rzeczywiście istniejącym warunkom ruchu punktu matematycznego.

Gdybyśmy zresztą nawet zgodzili się na to, że trajektorye mogą się rozgałęziać, to jeszcze i wtedy taka możność wybrania do dalszego biegu jednej lub drugiej ich gałęzi nie byłaby wcale obrazem wolnej woli, jaką przypisujemy duszy ludzkiej. Wahając się, nigdy nie mamy przed sobą dwóch dróg jednakowo dogodnych do biegu, lecz przeciwnie, wyobrażamy je sobie w umyśle, jako najeżone odmiennemi trudnościami, przedstawiające odmienne korzyści; wysiłek zaś przy dokonaniu wyboru ma jedynie na celu—jak to doskonale określił James — zgodzenie się na te następstwa, które z niego wyniknąć muszą.

Porzućmy więc dalszy rozbiór pracy p. Boussinesq.

Co więcej, praca jego bynajmniej nie rozwiązuje kwestyi. Zgodziwszy się zupełnie na jego porównania, musimy przyjąć, że według niego istoty *wolne* znajdują się w pewnych chwilach wobec dwu lub więcej *możliwości*, z których urzeczywistniają jedną. Ponieważ te *jednakowo możliwe* drogi zwykle są zupełnie od siebie niezależne, wpływ przeto wolnej woli nie zmieniałby w niczem istniejącego i z góry obliczyć się dającego stanu rzeczy. Ciało, będące w ruchu, przybywszy do pewnego punktu swej drogi, zostaje nagle zatrzymane, znajduje się w równowadze niestałej, odbiera nie-

[1] *Trajektoryą* nazywa się droga przebiegana przez ciało.

skończenie mały impuls, który niszczy ową równowagę i rozstrzyga o biegu ciała w jednym, określonym kierunku. Impuls ten, zważmy to dobrze, w niczem nie zmienia przebiegu zjawisk. Prawdą jest tylko, iż ruch został na chwilę wstrzymany—w skutek naturalnej kolei wypadków. Następnie, pod wpływem nowej przyczyny, rozpoczęła się ponowny bieg, ściśle do praw mechaniki zastosowany, a że on w tym lub owym posuwa się kierunku, to jest tylko wynikiem prawidłowego działania owej nieskończenie małej siły, naruszającej równowagę niestałą. Czy siła ta zmieniła w czekolwiek stan rzeczy w owym środku, w którym wystąpiło jej działanie? Bynajmniej. Działanie jej tylko zostało dodanem do już istniejąch przyczyn, a ciało pobiegło, jak zwykle w tych razach, po wypadkowej. Gdyby zamiast jednej, nieskończenie małej siły, działanie swe wywarła inna, kierując ciało w ruchu będące na inną drogę, wówczas rezultat byłby innym, jak to się rozumie samo przez się. Lecz nie w tem wcale tkwi rdzeń trudności.

Istota wolna zmienia najzupełniej postać wypadków w chwili, w której zrobi użytek z wolności swej woli. Porządek zjawisk przekształca się gwałtownie i postępują one dalej w zupełnie nieprzewidzianym kierunku.

Wyobraźmy sobie na bilardzie pewną liczbę kul z kości słoniowej. Przypuśćmy, że zarówno bile jak i bandy są doskonale sprężyste i że tarcia nie ma wcale. Wtedy jest rzeczą możliwą i łatwą nakreślić na stole bilardu cały szereg zygzagów, po których przebiegać będą bile, jeśli tylko znamy ich początkowe kierunki i prędkości. Lecz przypuściwszy, że jedna z tych bil ma wolną wolę, czyli, że ma ona możność wyłamywania się z pod ogólnych praw ruchu i jeśli tak się wyrazić wolno — poruszania się wedle kaprysu, wtedy wszystkie nasze obliczenia staną się błędne i przepowiednie wcale się nie spełnią.

Można również twierdzieć, że byt istot wolnych sprzeciwia się zasadzie zachowania energii. John Herschell, między innymi, był tegoż zdania. Wyraził się on w pewnem kółku, że siłę można stworzyć na nowo, że głośna i sławna zasada jej zachowania ma tylko wartość przybliżoną. Tak więc należałoby wybierać albo między wolnością woli, albo też między zasadą zachowania energii. Wybór nader trudny! Przekonajmy się — czy obu tych zasad nie można pogodzić z sobą. (D. n.)

I. I.

Z FRANCYI.

Przyszły minister oświaty. — Znaczenie P. Berta na tem stanowisku. — Jego odkrycia w dziedzinie klerykalizmu i program. — Jaką powinna być szkoła. — Dzieła Le Bona i Verniala. — Nowa powieść Daudeta.

Po prasie francuskiej rozmaite obiegają listy kandydatów do przyszłego ministerium Gambetty. Wyznać trzeba, że pomieszczane w tych spisach figury nie budzą w nas, a może i w francuzach, zbyt silnych wrażeń. Ot, poprostu wszystko jedno: czy ministrem spraw zagranicznych będzie Barthelemy-St.-Hilaire, czy Freycinet. Jedno tylko nazwisko, obok Gambetty, zdolne jest gwałtowniej wstrząsnąć; tego nazwiska wszyscy, ci ze strachem, drudzy z radością, szukają w projektowanych listach — mianowicie — prof. fizyologii Pawła Berta, przypuszczalnego ministra oświaty. Jeżeli zgodzimy się, a zgodzić musimy się na to, że prawodnictwo w wychowaniu jest najważniejszym sterem państwowym, że ono daje najrozleglejszy i najgłębszy wpływ na losy narodu, to zrozumiemy, jak potężnym wypadkiem dziejów Francyi byłoby złożenie tego steru w ręce człowieka, który może byłby najśmielszym urzędowym reformatorem szkolnictwa w Europie. W licznych swoich mowach i konferencyach P. Bert tak szczerze odsłonił swoje zasady pedagogiczne, tak nieustraszenie podważył fundamenty dotychczasowego systematu, że możemy sobie zupełnie jasno przedstawić przypuszczalny obraz jego działalności urzędowej, jeśli do niej zostanie powołanym. Znamienną, główną cechą jego stanowiska jest nienawiść do czynników ultramontańskich w wychowaniu. Niedawno w sali cyrku zimowego miał on konferencyę, poświęconą obnażeniu tych rzeczywiście oburzających lub rozśmieszających dziwolągów, które klerykalizm wprowadził do szkół paryskich i gorliwie je na wstyd cywilizacyi piastuje. Oto niektóre z przytoczonych przez niego pytań, zadawanych uczniom i uczennicom: „W jakiem położeniu zmartwychwstaną ciała grzeszników? Czy przed potopem istniała tęcza?“ Z tego źródła płynące wykłady moralności zapewniają, że kradzież niezawsze jest grzechem, że dłużnik może na podstawie prawa nie oddawać należności wierzycielowi i t. p. Katechizm ojca Gaume'a uczy, że „Bóg, umieściwszy morza w łożyskach, stworzył ziemię.“ W drukarni Towarzystwa jezuickiego sprzedają się bilety wejścia do raju. „Oto — mówi P. Bert — poświadczone pasporty do siedzib niebieskich i wskazówki dla podróżników: mogą oni wyjeżdżać, kiedy i skąd chcą; dla ubóstwa i pokory wyznaczona 1 klasa pociągu pospiesznego; nabożni, zachowujący sakramenty i uczęszczający do spowiedzi otrzymują 1 i 2 klasy w komunikacyi bezpośredniej. Pociąg ma dwie lokomotywy: jedna na przodzie — miłość, druga z tyłu — bojaźń; ostatnia bywa przyczepiana do pomocy, gdy tamta osłabnie. Wolno także podróżować w omnibusach — można przebywać drogę wpław, na gondoli, na ośle, koniu, jak się komu podoba. Powrotnych biletów nie ma.“ Dalej Bert zastanawia się nad taniemi wydawnictwami klerykalnych fabryk, rozchodzącemi się w niezliczonych egzemplarzach. „Oto książeczka — powiada on — p. t. *Dwór Maryi dziewicy*, wydana przez niejakiego Ludwika Gonzagę. Ten ojciec Gonzaga, skazany r. 1861 za kradzież na więzienie, a obecnie sprzedający świece woskowe i czekoladę, podaje następujący wypadek z życia św. Józefa. W pewnem mieście umarł młodzieniec, którego czyny nie były wcale idealne, który jednak w odmęcie rozmaitych przygód czuł ciągłą miłość do św. Józefa. Po śmierci stanął przede drzwiami nieba. Św. Piotr, spostrzegłszy go, rzekł: „Mój przyjacielu, sumienie nie pozwala mi cię wpuścić.“ „O, — woła grzesznik — jeśli nie możesz otworzyć mi bram raju, to bądź łaskaw zawołać tu mojego opiekuna św. Józefa. Jakoż św. Józef przybywa do swego przywiązanego syna, słucha jego prośby i udaje się z nią do Boga. „Daremnie, daremnie błaga — rzekł Pan Bóg do św. Józefa. Młodzieniec ten wiele grzeszył.“ „Ale umarły — odparł św. Józef — wzywał mnie codziennie i dla tego sprawiedliwość nakazuje mi... „A mój sąd — zawołał Pan Bóg — cóż ty z nim myślisz zrobić?“ Tym tonem ciągnęła się rozmowa długo, wreszcie św. Józef wzburzony rzekł: „Więc, chesz Panie, ażebym zawiódł zaufanie mojego sługi? To obraziłoby mój honor, ani ustąpić, ani wybierać nie mogę — odchodzę.“ Cały ten głupi dyalog wydaje się tak nieprawdopodobnym, że Bert, dla uniknięcia posądzeń o fałsz, objawił słuchaczom gotowość przedstawienia książeczki na dowód wierności swych cytat. Ultramontanizm wszakże nie poprzestaje na szerzeniu bredni, równie śmiało sieje zdrożności. Tak np. przy egzaminie inspektor pyta ucznia, która z postaci historycznych jest mu najwstrętniejszą? „Henryk IV — odpowiada śmiało uczeń — dlatego że wydał Edykt Nantejski, zapewniający protestantom swobodę [...] nia.“ Na wystawie paryskiej zna[...] się książka, wydana przez zakon[...] wiary chrześciajskiej,“ wysławiaj[...] rola IX i Katarzynę Medycejską z[...] „wciągu jednej nocy oswobodzili [...] od 50,000 hugonotów.“ Doprawdy [...] zgodzić się z Bertem, że daremnie [...] montanie francuscy przyczynę swego [...] dku widzą w energii swych wrogów[...] tkwi ona bowiem w nich samych. Ża[...] wyznanie, żadna sekta tak potworny[...] chwastem nie porosła. I czy podobn[...] chwast ten przenosić do szkoły?

Ale jakiż dla niej ideał kreśli Bert?

Szkoła, według niego, powinna być zewnętrznie najpiękniejszym budynkiem miasta i wioski, jak niegdyś kościół. Powinna być obszerna i hygienicznie urządzona, nie zawierać więcej nad 20—30 uczniów. Otaczać ją musi ogród i nakryty dachem plac do zabawy; dalej gimnastyka dla rozwoju sił fizycznych, mała pracownia dla robienia doświadczeń, wreszcie warsztaty i wygodne, nietorturujące młodych członków ławki. Jeśli idzie o pieniądze, czyż Francya nie jest dość bogatą, ażeby mogła opłacić taką naukę swych dzieci? Może ona im sprawić mapy, globusy, zbiory przyrodnicze, chemiczne i fizykalne narzędzia, modele, okazy przemysłu, książki i t.d. W zapasie tym nie należałoby pominąć nawet strzelb, bo młody francuz kształci się również na żołnierza. Nauczyciel, rozumie się dostatnio uposażony, powinien uczyć przywiązania do ojczyzny, swobód obywatelskich, szacunku dla rządu i równości przed prawem, powinien wpajać czyste zasady moralne, na prawdzie i stosunkach życia oparte, bez przyprawy sztucznej, skłamanej. Że Bert do ukształcenia umysłowego pragnąłby stosować najracyonalniejszą metodę i osiągnąć możliwe rozwinięcie w dzieciach — zaledwie potrzebujemy dodawać. Program swój skreślił on bardzo szczegółowo, nie pominąwszy w nim żadnego drobiazgu; tam też odsyłamy interesujących się z zawodu uprawą publicznego wychowania. Tu tylko zaznaczymy ponownie, że wejście Berta do ministerium będzie dla Francyi wypadkiem donioślejszego znaczenia, niż obsadzenie wszystkich innych posad w gabinecie Gambetty. Być jednak może, iż b. dyktator, otrząsający się przy wzlatywaniu w górę z radykalnych piórek, zlęknie się tak śmiałego towarzysza.

Bert nie jest bynajmniej w swojej teoryi odosobnionym. Dość przeczytać rozdział o wychowaniu w książce dr. G. Le Bona p.t. *L'homme et les sociétés, leurs origines et leur histoires* (Paryż). Znajdujemy tu również silne ataki na dotychczasowy systemat pedagogiczny—przedewszystkiem zaś na klasycyzm. Niez tego jedynie względu książka Le Bona jest godną poznania; jak bowiem wskazuje jej tytuł, obejmuje ona daleko szerszy, nawet za szeroki zakres treści. Francuzi, którzy przed wiekiem przewodniczyli całemu światu w śmiałych skokach filozoficznych, do niedawna zwolnili kroku a nawet pozostawali za innymi narodami. Dziś znowu objawia się śród nich silny prąd, który początkowy się w de La Mettriem, płynął po przez dzieła encyklopedystów i pozytywistów. Praca Le Bona należy właśnie do tego kierunku, chociaż nosi znamiona pesymizmu. Korzystając z nieokreślonych granic tak zwanej socyologii, dotyka on w niej wszystkiego; że zaś tylko *dotyka* — rzecz prosta. Nowych świateł nie rozpala, ale już gorejące umiejętnie łączy. Sposobności zaś do tego mu nie brak, jeśli kolejno mówi o wszystkich żywiołach cywilizacyi: nauce, sztuce, przemyśle, handlu i t. d. Przeciwnik wolnej woli i bezwzględności poznania, posuwa się często do najdalszych wyników swych twierdzeń i wtedy przypomina...... Büchnera.

Pokrewna treścią z dziełem Le Bona jest praca d-ra Verniala p.t. *Origine de l'homm[e]*

... l'évolution naturelle ... darwinizmu filozofia ... płonki, nietylko we Francyi, ... we Włoszech, gdzie S. F. de Do... wykłada *La dottrina dell' evolutione*, ...jednak bliżej nie znamy.

... z pola filozofii.

...det, piękny i ukochany Daudet ... się znowu do swych nieobli... ...cieli powieścią *Nouma Roume...* W bohaterze odgadywano Gambettę, ...mysł jednak okazał się błędnym. Ro...mestan jest rzeczywiście deputowanym, ... z prawicy, ma on przytem żonę, której Gambetta nie posiada, i ucieka z aktorą, ...o b. dyktator również nie robi. Powieść ...da wdzięki i zalotność talentu Daude... ...niej jednak zajmująca i barwista, niż nieporównany jego *Jack*.

S.

Kronika rosyjska.

...misye. — Dalszy ciąg obrad nad pijaństwem. — Sprawa przesiedlania się włościan. — Książe Wasilczyków. — Jego zapatrywania. — Jubileusz Szczedrina i nowy wybuch błota. — Przykład dziennikarskiej sztuki. — Atak na hr. Uwarowa i Siemiradzkiego. — „Prawdziwy artysta.“

Pomimo iż ostatnie lat kilkadziesiąt ży... ...Rosyi stanowią stosunkowo niedługi ...czasu, dałyby się jednak podzielić ... epok *krytycznych* i *organicznych*, ...ślenia Saint Simona. Epoki te ...jak wszelkie zwroty history... ...rozdzielone murami żadnymi, ... stykają, lecz nawet, zwła... ...ku i końcu, trwają równole... ... w rzeczywistości jak i w te... ... się myśl obudzi z uśpienia a ...k zbiorowy“ poczuje, że źle z nim, ... i wyobraźnia podsuwają mu zawsze ...s nowy ratunek, a przynajmniej w nowej postaci.

Wiele z tych lekarstw, zmieniając się ...dziwną szybkością, przebiegało przez gło... ...y od lat chociażby dwudziestu, do każde... ...z nich wyciągały się jego ręce, o każdy ...czyły się walki nieraz nader smutne, ...ki nie zjawiła się nowa nadzieja, nowa ...ea zbawcza, nowy obraz. Świadomość ...ego powracała uparcie, a wraz z nią sta...ania o „naprawę,“ idące w podwójnym kie...unku reform z góry, mniej więcej umiar...kowanych, oraz reform w ideałach społe...cznych, coraz skrajniejszych. Typ cnotli...wego urzędnika, nieprzystępnego dla łapó...wek, wystawiony na początku tego okresu, ...stąpił miejsca głośnemu przedstawicielo...wi naradzającego się nihilizmu, (*Ojcowie i dzieci* Turgeniewa); ale i tego uznano za ...iz zbyt arystokratyczny, daleko stojący ... masy. Jego więc miejsce zajął zbliżony ...niej Rachmetiew, „gotujący się do czy...“ w tendencyjnej powieści Czernyszewskiego *Co robić?* Rachmetiew był jednostką, ...ą wprawdzie, lecz bądź co bądź, jedno...ą, a tymczasem wiara w usiłowania poje...ńcze coraz bardziej malejąc, doszła ...koniec do minimum. Zamiast wszystkich ...ych bohaterów, wystąpił nowy, olbrzymi, ... kształtach gubiących się we mgle kolos— ...lud. „Z nim przez niego i dla niego“ tak ...iało nowe hasło. „Precz z inteligen... — wołano z różnych stron — w nim ...ło wszystkiego, on nietylko celem, ale ...kami.“

... a raczej cel to wprawdzie szeroki, ... wielkich wysiłków, lecz, przyznać ... bardzo nieokreślony. To też uka... ... się coraz inaczej, częstokroć bar... ...ntastycznie, bardzo niepodobny do ..., jakim jest w rzeczywistości. „Inteli...cya,“ bijąc się w piersi i chyląc kornie ...oło, ustępuje „mużikowi,“ nie przestając

Zasługa jej jest też prawdziwie wielką, chociaż rezultaty o wiele nie odpowiadają dobrym chęciom.

Obecnie, jak wiadomo, „mużik“ w sukmanie i łapciach znowu stał się bohaterem chwili, o nim to ciągle mowa, a z różnych stron roztrząsają jego sprawy.

Oprócz „biegłych“ *(świeduszczych ludiej)*, obradujących nad sprawą pijaństwa i przesiedlenia się włościan, osobne zgromadzenie, pod przewodnictwem hr. Kotzebue, rozpatruje organizacyę i administracyę wojenną, inne znowu, pod prezydencyą barona Rosena, rozstrzygało sprawę akcyzy od tytoniu, nie licząc całej drobniejszych, przygotowujących materyał dla władzy prawodawczej. Najszerszą uwagę zwraca pierwsze z tych zebrań, zarówno przedmiotem swych narad, jako też udzielonymi mu przywilejami. Zaznajomiliśmy już czytelników *Prawdy* z początkiem jego uchwał — dziś w ogólnych wyrazach zsumujemy ich ciąg dalszy. Zalecono: 1) wprowadzić piwo, jako środek, mający zmniejszyć pijaństwo, przyczem p. Ostrowski zwrócił uwagę na niewłaściwość równomiernego opodatkowania dwu różnych piw (zwyczajnego i bawarskiego) w Królestwie Polskiem; 2) przyjąć za normę jeden szynk na 1,000 mieszkańców w powiatach; 3) dozwolić ziemstwom, w razie potrzeby, zmienić tę normę do 25%; 4) zabronić żydom talmudystom utrzymywania składów wódczanych oraz szynkowania po wsiach i miastach — na wniosek wszakże p. Zamojskiego ograniczenie to co do miast w Królestwie zostało odłożonem do osobnej narady; 5) udzielić gminom lub osobom prywatnym prawo zakazywania na swym gruncie handlu wódką. Taki jest ogólny plon rozpraw, zebrany do 3 listopada. Jak widzimy, mieści się w nim bardzo ostry kłos dla żydów, którym uchwała biegłych, jeśli prawem się stanie, zamknie jedną z najważniejszych dróg handlu. Jednomyślność tego postanowienia winna być dla nich nader wymowną wskazówką nastroju klas politycznie wpływowych oraz kierunku działań ustawodawczych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że apostołowane po zamieszkach na południu Cesarstwa równouprawnienie niema dziś żadnych widoków i że żydzi zatrzymani zostaną pod strażą praw wyjątkowych. Na wszelką w tej mierze opozycyę zwolennicy tej wyjątkowości odpowiadają jednym i przyznać trzeba silnym argumentem: ponieważ żydzi (talmudyści) chcą pozostać społeczeństwem odrębnem, muszą się poddać prawom odrębnym. Istotnie, po krwawych doświadczeniach, wobec groźnej przyszłości, zadziwiającym jest śród izraelitów brak jakichkolwiek usiłowań do wyjścia z dotychczasowego stanu. Tak niczem nie starają się złamać otaczającego ich muru i zażegnać możliwej burzy, jak gdyby niedawne pogromy były ostatnią ekonomiczno-wyznaniową rozprawą.

W ogólnych tylko punktach zaznaczyć możemy dotychczasowe uchwały w sprawie przesiedlania się włościan. Biegli przyszli do wniosku: owo przesiedlanie się jest zjawiskiem historycznie i ekonomicznie usprawiedliwionem, naturalnem, dziś koniecznem, ale niepożądanem i dlatego trzeba się starać o usunięcie go przez zmianę tych wszystkich warunków, śród których rodzić się musi. W przedmiocie tym plącze się tyle poważnych zagadnień społecznych, że nawet nie próbujemy dziś rozsnuwać tego pasma, które wymagałoby niezmiernie długim promieniem zatoczonego koła uwag i objaśnień. Może później rzucimy światło na kilka kwestyj ważniejszych.

W chwili gdy one wystąpiły lub wyprowadzone zostały z nadzieją uporządkowania ich powikłań, daleko dotliwszą niż

szym badaczem jej stosunków ziemiańskich.

Książe Wasilczyków, którego działalność gruntownie u nas ocenił Spasowicz (w *Ateneum*) wystąpił dość późno na pole piśmiennicze. Pierwszą pracę *O samoupraw lenii* (1868) wydał mając już lat 50. Praca ta łącznie z drugą p. t. *Ziemlewładienie i ziemledielie* (1876) stanowi całokształt poglądów autora. Dla Wasilczykowa kwestya włościańska była rdzeniem wszystkich innych spraw społecznych. Wierzył on, że proces, poczęty przez zniesienie poddaństwa w Rosyi, doprowadzi do najlepszych wyników, jeśli podstawa państwa, lud pozostanie zdrowym i umocni się w swych siłach. To zaś zdrowie i siły zależą przedewszystkiem od organizacyi ekonomicznej, którą w sposób niebezpieczny pragnie uregulować socyalizm. W warunkach życia Rosyi istnieje grunt do oparcia się temu zgubnemu prądowi, lecz warunki te mogą być złamane — i tego właśnie Wasilczyków się obawiał, a jak doświadczenie przekonało — słusznie. W drugiej swojej pracy zadał on sobie i swojemu krajowi pytanie: czy do wysokiego stopnia cywilizacyi (Zachodu) można dojść innemi drogami? czy można uniknąć omyłek i krzywd, towarzyszących historycznemu rozwojowi sprawy ziemskiej w innych państwach? To jest: czy Rosya, dla osiągnięcia cywilizacyi europejskiej, winna wytworzyć u siebie jej formy ekonomiczne, które w rezultacie zrodziły ruch socyalny? Oryginalność tej formuły — powiada A. Gradowski w *Niedieli* — ściągnęła na niego dwa posądzenia: o socyalizm i słowianofilstwo. Socyalistą był chyba o tyle tylko, że korzystał z literatury tego charakteru i radził ziemie skarbowe sprzedać raczej przesiedlającym się włościanom, niż własności większej; tytuł słowianofila należy mu się istotnie, ale nie w obecnem, zniesławionem znaczeniu. Dzisiejsi słowianofile „odrzucają“ przedewszystkiem „cywilizacyę“ Europy a kłonią się do jej ustroju ekonomicznego; Wasilczyków zaś odwrotnie — godził się na cywilizacyę, ale nie na ustrój ekonomiczny Zachodu. To jego stanowisko jest zarazem odpowiedzią na powyższe pytanie, mianowicie: Rosya nie powinna przerywać swego historycznego rozwoju i przykrawać ślepo swego życia do wzorów obcych, lecz na obecnym gruncie rodzinnym zbudować przyszłość pomyślniejszą. Co ma służyć za główne podwaliny owej przyszłości? Samorząd i oświata ludowa. Takie jest ogólne wyznanie polityczno-społecznej wiary Wasilczykowa, nader niezwykłe w sferze, do której należał. Ze śmiercią jego Rosya straciła jedyną może nić Aryadny, która nie pozwalała zabłąkać się w labiryncie pokrzyżowanych zagadnień państwowych i społecznych. Pożegnano go powszechną sympatyą, do której z licznych przyczyn przyłączyła się i ta drobna, że Wasilczyków jako sekundant w pojedynku Lermontowa był żywem wspomnieniem ostatnich chwil poety.

Poważnych zbiorów działalności Wasilczykowa spotkaliśmy dotąd w prasie rosyjskiej mało, ale zato wzajemnych szkalowań się, jak zwykle, bardzo dużo. Zwycięstwo sądowe oszczerców *N. Wremieni* w procesie z p. Koszewarową-Rudniewą dodało bodźca tego rodzaju występom i przejęło przywódców dziennikarskiej *brani* poczuciem bezkarności. Do nowego jej wybuchu dostarczył sposobności 25-letni jubileusz satyr Szczedryna. Kółko czcicieli tego pisarza wyprawiło w Moskwie z tego powodu obiad, na którym wystawiono: *Moskowskija Wiedomosti*. Żart był rubaszny, ale ile błota trysnęło na jego sprawców z dziennikarskiej prawicy! Przez jakiś czas płynęły kolumnami jej dzienników potoki najbrutalniejszych wymysłów, a czytelnicy pijąc je zapomnieli o biegłych, o przesiedlaniu się włościan, o ks. Wasil-

czykowie, o wszystkiem, co myśl ich z tego mułu oczyścić mogło. Dziś znowu cisza. Tak zwani „zbawcy“ codziennie rewidują łamy pism liberalnych i wynajdują w nich głęboko ukryte zbrodnicze hasła i zamiary. Ile niecnoty jest w tem węszeniu, jakie ona śród ogółu szerzy moralne zepsucie — odgadnąć łatwo.

Dzielnie również złajało *N. Wremia* hr. Uwarowa za to, że wezwał Siemiradzkiego do namalowania fresek w muzeum historycznym w Moskwie. Gdyby tylko hr. Uwarowa; ale co w całej tej sprawie winien Siemiradzki, że mu się dostało? Że jest polakiem, że „wpisał się otwarcie do szeregów polskich,“ że „obrazy swe podpisywał po polsku“ — no, zapewnie, to w oczach *N. Wremieni* przestępstwo niemałe. Sądzimy jednak, że cała ta zbrodnia nie wystarcza do odmówienia Siemiradzkiemu tytułu „prawdziwego artysty,“ boć ten zaszczyt przyznano mu dalej, niż berło krytyki p. Suworyna sięgnąć może. A może redaktor *N. Wremieni* sądzi, że ten tylko jest „prawdziwym artystą,“ kto na sklepieniu prasy umie malować freski oszczerstw i kłamliwych posądzeń? W takim razie — ustępujemy.

T. W.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

E. Quinet. **Nowy duch.** Warszawa 1881, wydawnictwo Spółki Nakładowej.

Orlim lotem przebiega w tej książce słynny przyjaciel naszego Mickiewicza wszystkie wielkie zagadnienia ludzkości, na które powiał, nieraz od jego skrzydeł, *duch nowy*. „Człowiek, żeglujący śród burzy — powiada autor o sobie — każe się czasami przywiązywać do wielkiego masztu okrętowego, żeby go wichry nie porwały. Podobnie i ja przywiązałem się do rzeczy i prawd, które nas wszystkich przeżyją... Naród, ile razy chce, może opóźniać się z wygłaszaniem prawdy; może posuwać się zygzakiem od prawdy do fałszu, przez kręte manowce, z podniesionem lub pochylonem czołem, może kroczyć, wlec się lub biedz, według swej woli. On ma bowiem dość czasu, a czas jest najlepszym korektorem. Jazaś, jako człowiek pojedyńczy, przywilejów tych nie posiadam, krótko zabawię na ziemi, winienem więc z przywilejów korzystać.“ Skorzystał też i wypowiedział wszystko, co za prawdę uważał: w początkach świata umysłowego i moralnego, w fizyologii społecznej, w naukach politycznych, w historyi, w krytyce literackiej i w filozofii. Jakaż to jest ta „nowa filozofia,“ w której się objawia „nowy duch?“ „Człowiek — powiada Quinet — znużył się wyłącznem badaniem i oglądaniem siebie. Umysł jego wyjałowił się w rozważaniu własnej swej jaźni. Wyszedł tedy z monologu bez echa, w którem jego myśl poszukiwała i wyczerpywała samą siebie... Wyjdźmy z tej samotności wewnętrznej. Nie zamykajmy się w klasztorze scholastycznej jaźni. Nasze badanie duszy nie zawiera się już wyłącznie w nas samych. We wszystkiem, co rośnie, czuje, oddycha pośród ciała organicznego(?)odczuwamy przygotowanie naszej samowiedzy. Po raz pierwszy (!) człowiek wchodzi w ścisłą styczność z wszechświatem. Nie jest to płonna rozmowa jednostki ze swym cieniem. Jest to dyalog z każdą istotą, od najodleglejszej do najbliższej. Człowiek słucha nie już tylko bicia własnego serca, lecz pulsu i rytmu całego żywota.“ W słowach tych jest, niewątpliwie, bardzo wiele niejasności, więcej blasku w formie zdań, niż treści w ich zawarciu. Ale też Quinet nie jest głębokim filozofem; on raczej wielkie prawdy przeczuwa, niż je odkryć a nawet pojąć umie. Wszystkie promienie nowoczesnej wiedzy zestrzeliły się w jego mózgu i sercu, stworzywszy mieniącą się, ale piękną smugę światła. W duszy jego rozpięła się tęcza, w której wszystkie wielkie barwy „nowego ducha“ odnaleźć można. Quinet jest deistą, w szlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. „Obłuda naszych czasów — powiada on — wydała zadziwiające następstwo. Filozofowie nie śmieją wymówić imienia Boga, tak dalece służyło ono za barwę oszustwu.“ Quinet z gruntu entuzyasta, nie traci nadziei śród odmętu najrozmaitszych teoryj i złudzeń, widzi wschodzącą jutrzenkę lepszego życia. Jest to zwykłe złudzenie marzycieli.

Jest on naturalnie demokratą. Ciekawe są jego uwagi o możnowładztwie. „Arystokracya pada ofiarą chciwości złota. Jakto? Zaślubia bogatych dorobkiewiczów. Bardzo dobrze, ale ona sądzi, że przytem zachowuje dawny typ szlachecko-rycerski. Natura zawsze odzyskuje swoje prawa. W tych więc mięszaninach, utworzonych przez samą chciwość, ginie zarówno typ arystokratyczny, jak i plebejuszowski. Płodem ich jest mięszaniec, który nie należy ani do silnych rodzajów ludu, ani do eleganckiej szlachty nowoczesnej... Stąd wynika, że ludność wzrasta tylko dzięki masom narodu. Jestto skutek słabej płodności w rodzinach bogatych i zamożnych. Stąd znów wniosek drugi, że tak zwana szlachta wyszła z łona ludu. Oddawna już nie byłoby najmniejszego śladu potomków starego rycerstwa, gdyby to, co nazywamy tem imieniem, nie narodziło się z ludu.“

Z przytoczonych ustępów czytelnik poznał nietylko przekonania autora w pewnych przedmiotach zasadniczych, ale nadto jego sposób wyrażania swych myśli. Sieka on je na krótkie, błyskotliwe aforyzmy, z których znaczna część trąci paradoksalnością. Quinet rozcina nimi najzawilsze węzły, sądząc, że je rozsnuł. Z tej strony ma on bardzo wiele podobieństwa do Wiktora Hugo. Czasem rzuci głęboką prawdę, ale tuż za nią piękne brzmiący frazes, pozbawiony ścisłości. Nie rozumuje jak poważny myśliciel, ale jak filozofujący poeta. I dlatego jego książka, chociaż grzeszy nieraz powierzchownością sądu, przykuwa nieopisanym powabem i żwawością. Od pierwszej do ostatniej stronicy czyta się jak najświetniejszy fejleton, każde jej zdanie pada na umysł z dźwiękiem najszlachetniejszej stylistyki.

Przekład (pp. Zglińskiego i Bema) staranny, ale korekta niedość oględna.

A. Skórkowski. **Choroby duszy i odpowiedzialność moralna.** Wilno 1881, wydawnictwo E. Orzeszkowej.

Jeżeli powiemy, że praca ta zawiera tylko 38 stronic druku, to czytelnik zrozumie, jak ona musi być pobieżną i jak mało daje gruntownych wyjaśnień w swym rozległym przedmiocie. Maudsley nie podołał temu zadaniu nawet w obszernem dziele. P. S. określa główne typy chorób umysłowych, tłomacząc je nader szkicowo wskazówkami fizyologicznemi. O „odpowiedzialności moralnej“ nie mówi nic więcej nad to, że „choroba umysłowa znosi lub zakłóca wolność woli.“ Z tego dowiadujemy się, że autor jest wyznawcą woli wolnej. Pragnie on tylko, ażeby w wypadkach przestępstwa psychiatrzy orzekali o poczytalności, t. j. istnieniu lub nieistnieniu moralnego zdrowia.

Zanadto broszurka przedstawia słaby materyał naukowy, ażebyśmy mogli i potrzebowali rozprawiać się z tem błędnem twierdzeniem. Błędnem dlatego, że według nas *psychologicznie* niepoczytalnym jest nikt, zdrów czy waryat, *społecznie* zaś winien być każdy. Piorun niema wolnej woli, a jednak obezwładniamy go konduktorami.

LIBERUM VETO.

Konieczność napisania artykułu o dymisyi p. Święckiej i zajęcia stanowiska wobec dyrekcyi teatrów. — Szpital rezerwowy. — Wszyscy nie mogą. — Hr. Branicki mógł, ale nie chciał. — Nadzieja we Francyi. — Dowód energicznej troskliwości o zdrowie... bydła. — Bankructwo Magdalenek pokutujących. — Zobowiązanie. — Gust Banku Polskiego. — Komu darmo a komu za pieniądze. — Koncerty. — Prośba do p. H. Marczello. — Prospekt *Przeglądu pedagogicznego*. — Dobra wróżba. —

Nie ma ratunku — musimy chyba napisać obszerny artykuł o „dymisyi p. Święckiej,“ bo stała się ona „kwestyą,“ której żaden szanujący się i dbający o dobro swych czytelników organ pominąć nie może i która już po kilkaset wierszy łez wysączyła w dziennikach. Nietylko bowiem trzeba zająć jakieś stanowisko w tej ważnej sprawie, ale nadto oświadczyć, z której strony zamyślamy stale pokazywać czytelnikom naszym dyrekcyę teatrów warszawskich. Według jednych pism jest to niedołężne ciało, które zdobyło się dotąd tylko na nieuszanowanie powagi komitetu teatralnego, bezrząd w gospodarstwie, względy dla „nieużytków“ aktorskich oraz na usunięcie p. Święckiej; według innych znowu, jest to energiczny i bardzo troskliwy o sztukę dramatyczną zarząd, który słusznie wypłoszył tkaczów intrygi, popiera swojską muzę i nie ulega kaprysom rozpieszczonych aktorek. Naturalnie, jeżeli *Prawda* chce nie chodzić luzem i należyć do jakiegoś stronnictwa w prasie, musi stanąć pod chorągwią jednego lub drugiego obozu i systematycznie czernić lub bielić dyrekcyę teatrów. Ponieważ zbyt to ważna sprawa, ażebyśmy odrazu na wybór zdecydować się mogli, odkładam ją więc do namysłu a tymczasem zajmę się inną, niebezpieczniejszą epidemią.

Choroby zaraźliwe, wcale niezatrwożone groźną postawą komitetu sanitarnego, zwiększyły swój morderczy pobór. Że zaś dzieci ubogie, chore na szkarlatynę lub błonicę, nie mają dotąd w szpitalach warszawskich ani jednego kąta, w którym by się schronić mogły, a liczba ich coraz bardziej wzrasta, więc dla rozrywki w tym kłopocie zadajemy sobie pytanie: czy by nie należało założyć szpitala rezerwowego w dawnym ogrodzie Ohma za rogatkami wolskiemi? Rada dobroczynności publicznej powiada, że bez pomocy Magistratu uczynić tego nie może, Magistrat broni się, że również nie może, a ponieważ najsłynniejsi filantropowie także nie mogą, więc nic a nic nie przeszkadza błonicy i szkarlatynie w rzezi ubogich niewiniątek. Był wprawdzie jeden człowiek, który to zrobić mógł, ale umarł, a umierając nie chciał. Mianowicie hr. Branicki, który w r. 1871 ofiarował Francyi 500,000 fr. dla rannych w wojnie, teraz zapisał 200,000 fr. dla biednych... Paryża. Z procentów od tej sumy ma być utworzonych sześć łóżek szpitalnych. No, połknij ślinkę Warszawo na ten dar jednego z „niebocznych“ i nie masz innej rady, jak posłać swe chore dzieci do Paryża. Jeśli tam nie skorzystają z zapisu hr. Branickiego, może znajdzie się inny magnat polski, który dla nich fundusz wyznaczy w stolicy... Francyi. Mamy do tej ofiary niewątpliwe prawo. Powiedzmy tylko francuzom: przychodzimy do was z prośbą o łóżka z zapisu polskiej arystokracyi, my, którzy dotąd ufamy jej, chociaż nas zdradzała, całujemy jej nogi, chociaż nas kopie, do przewodnictwa w narodzie wzywamy, chociaż obcym swe pieniądze darowywa — powie-

dzmy to, a niezawodnie szlachetni paryżanie do nas rzekną: no, głuptasy, zasłużyliście na szpital.

Ażeby ktoś z powyższych uwag błędnie nie wywnioskował, że zdrowie naszego miasta pozostawione jest bez dozoru, radzę przeczytać surowe przepisy z powodu ukazania się księgosuszu w okolicach ulicy Złotej. Aż dusza się raduje na widok tych energicznych wyrażeń: „zamknąć targ...“ „nie wpuszczać na pastwiska miejskie...“ i. t. d.—jak to miło. Gdyby to tak z ludźmi! Może nie potrzebowalibyśmy ani szpitala rezerwowego, ani Magistratu, ani hr. Branickiego.

„Magdalenki“ pokutujące bankrutują. Jakiś St. *hr.* Al. opowiedział nam smutną historyę tej instytucyi, której środki pieniężne zupełnie się wyczerpały i która nie ma dziś nawet czem opłacić 350 rs. procentu amortyzacyjnego od pożyczki Towarzystwu Kredytowemu m. Warszawy. Jeżeli *hrabia* Al. aż przez *Kuryer Warszawski* przesłał do swych współutytułowanych tę skargę, to widocznie nie radzi oni są jej wysłuchać. A jednakże chyba nasze *high life* powinno najbardziej poczuwać się do obowiązków względem „Madgalenek.“ Zapewnie — odrzekną mi dziedzice pięknych „czwórek“ i rasowych Don Juanów — ale nie do pokutujących. I to prawda. Panowie niech się zajmują Magdalenami grzeszącemi, a my biedne pospólstwo pamiętajmy o pokutujących. Jednakże, czy by niespróbować podbicia pańskiej dumy? Jestem człowiekiem niezamożnym, sumienie nie wyrzuca mi żadnego kobiecego nieszczęścia, mimo to zobowiązuję się przed czytelnikami do 10 sr. na korzyść Magdalenek, jeżeli jakikolwiek pan dołączy do nich... 200. No, *panowie* otwarta sposobność do miłosierdzia z własnej i z cudzej kieszeni.

Jeżeli hr. Branickiemu wolno dla Paryża zapisać 200,000 fr., to czemu filii Banku *Polskiego* w Łodzi nie ma być wolno umieszczać swych ogłoszeń tylko po rosyjsku i niemiecku? Zresztą Bank *Polski* nie odznaczał się nigdy ufnością do pism jednako z nim zatytułowanych. Dziennikom polskim przysyła on do swobodnego użytku swoje bilanse, ale dla *Lodzer Zeitung* przeznacza płatne ogłoszenia. Zupełnie tak samo, jak kolej Warszawsko-Wiedeńska i Bydgoska, która najkosztowniejsze inseraty chowa dla *Berliner Börsen-Couriera*, a gazetom warszawskim nadsyła tylko wyjaśnienia w „sprawie węglowej.“ Żadna Lerther-Bahn nie wywzajemnia się podobną grzecznością naszym pismom, ale my też nie mamy ks. Bismarka a Niemcy polskich urzędników na swych kolejach.

Afisze koncertowe i prospekty czasopism już poruszyły tę naszą chorą, przez hr. Branickich i Bank Polski wzgardzoną Warszawę. Dyrekcya teatrów dała pierwsze hasło do rozpoczęcia pory muzykalnej, sprowadziwszy panią Trebelli wraz z wiązeczką rozmaitej włoszczyzny, popisującej się podobno przed pustemi ławkami w salach redutowych. Czy te koncerty godne są słuchania, mógłbym odpowiedzieć wtedy dopiero, gdybym „zajął stanowisko“ względem dyrekcyi teatralnej, na które (patrz wyżej) dotąd się nie zdecydowałem. Zwolennicy komitetu teatralnego zapewniają, że to są kpiny w południe, przeciwnicy znowu utrzymują, że bardzo piękne rzeczy. Jeżeli więc chcesz czytelnikłu dowiedzieć się prawdy i nie potrzebujesz oszczędzać pieniędzy na występy Sary Bernard i Heleny Modrzejewskiej (a da Bóg i Heleny Marcello, która już pojechała do Paryża), to idź sam i przekonaj się. Do p. H. Marcello mam jedną prośbę: niech się wstrzyma ze swą sławą i przybędzie do nas wtedy, gdy opłaczemy stratę pani Święckiej i odpoczniemy po uwielbieniach dla S. Bernard i Modrzejewskiej. Bo przyznam się, że tyle zachwytu naraz, jeszcze może nowe „kwestye“... „dymisye“... i artykuły pism o tych „kwestyach“ i „dymisyach“—to byłoby dla nas za dużo.

Pochód prospektów rozpoczął p. Babiński zapowiedzią *Przeglądu Pedagogicznego*, który co dwa tygodnie ma nam radzić, jak nasz kochany drobiazg chować powinniśmy. Dobrze to wróży wydawnictwu, że jego redaktor zanim się o poparcie dla swego pisma do społeczeństwa odwołał, naprzód się temu społeczeństwu swą wyborną szkołą zasłużył. Ma więc moralny kredyt, ufamy jego sumieniu i rozumowi. Prospekt spowiada się z zamiarów redakcyi szczerze, chociaż naturalnie bardzo ogólnikowo. Gdyby wyszedł z podpisem nieznanym, może nie wiedzielibyśmy, co nam obiecuje; ale gdy pod jego nieokreślone tony podłożymy zrozumiałe libretto praktycznej p. Babińskiego działalności, wyspiewa on nam bardzo dobrą wróżbę. Zresztą powiada: „Wszelka przesada daleko idąca, ciasnota, jednostronna, partykularyzm lub zacofanie się nie znajdą schronienia w piśmie naszem, które objawy tego rodzaju będzie uważało jako szkodliwą dążność do nieprawidłowego i nienaturalnego zacieśnienia rozwoju młodego człowieka.“ *In hoc signo vinces.*

Poseł Prawdy.

TEATR.

Świat nudów, komedya w 3-ch aktach Edw. Paillerona przekład Edw. Lubowskiego.

Zwracano nieraz uwagę, że ustrój polityczny obecnej rzeczypospolitej francuskiej mało dotychczas wywiera wpływu na literaturę, idącą gościńcem utorowanym przez drugie cesarstwo. Tymczasem najmłodsze dziecię francuskiej muzy dramatycznej *Świat nudów* (*Le monde ou l'on s'ennuye*), przeniesiony świeżo na deski naszej sceny, jest wyraźnym tworem stosunków obecnych, które dotyka w mnóstwie doraźnych aluzyj. Pod tym względem Pailleron pozwala sobie nawet daleko więcej swobody, aniżeli dawniejsi autorowie, którzy ostrożnie wkraczali zwykle w sferę polityki. (Augier w *Synu Giboyera* albo Sardou w *Safandułach*). On już wprowadza osobistości, w których pod osłoną pseudonimu można poznać politycznych działaczów, a cała atmosfera komedyi jest schwycona, podobno bardzo wiernie, z rzeczywistości, i odtwarza życie jednego z tych salonów, niby literacko naukowych, które są dziś właściwie kuźniami tajemnych knowań politycznych. W szeregu scen zbiorowych, kreślonych żywo i delikatnie, autor ośmiesza ten *Świat nudów* — sztywnego konwenansu i umysłowej stęchlizny. Pod względem politycznym Pailleron nie staje na wybitnie tendencyjnem stanowisku, nie zamienia komedyi na pamflet lub rozprawę stronniczą. Jednakże wieje z tego utworu duch szczerze liberalny, zwłaszcza pod względem obyczajowym. Autor staje się gorącym a zręcznym rzecznikiem swobody uczucia i myśli, piętnuje obłudę towarzyską i ową wrodzoną francuzom zaśniedziałość w rzeczach nauki i sztuki. Uświęcone powagą nudy towarzyskie i umysłowe wyszydza bardzo dowcipnie.

W salonie hrabiny de Cerny panuje przedewszystkiem sztywność klasztorna, która z ludzi czyni papierowe manekiny. Twórcami i przedstawicielami nudów, oprócz samej gospodyni, są także hr. de St. Reol, badacz legend sanskryckich, którego wykłada damom jakiś pargaminowy poeta tragiczny, a nareszcie p. Bellac kwiecisty frazeolog, mówca ulubiony przez płeć piękną, płotący kwieciste mistyczne ambaje. Pailleron, zwyczajem francuskim, zachodzi w satyrze trochę zadaleko. Przedewszystkiem legendy sanskryckie w literaturze starych indów nie są bynajmniej tak nudne, owszem należą do najbardziej pociągających przedmiotów, chociażby dla przeciętnego francuza, wychowanego wśród atmosfery szyku paryskiego, były „du grec.“ Co do naigrawania się z tragedyi, reprezentowanej przez sztywnego fabrykanta aleksandrynów, jest ona słuszna szczególniej w zastosowaniu do klasycznej tragedyi francuskiej i do jej niektórych maroderów, silących się na wskrzeszenie starej rutyny. W prof. Bellacu doskonale zato uosobił autor bezpłodną jałowość spirytualizmu francuskiego, modnej filozofii „juste millieu,“ pływającej we mgłach, sztukującej się niemieckim idealizmem i kokietującej frazesem. Oprócz tego znajdziemy tu w wielu scenach bardzo dowcipne przycinki różnym osobom a nawet instytucyom politycznym, okraszone delikatnym sceptycyzmem. Kreśląc panoramę postaci i scen satyrycznych, autor zwyczajem znanym od czasu *Fałszywych pocziwców* Barrière'a, uwydatnił w komedyi jedną postać świetną, humorystyczną, będącą niejako ogniskiem dodatniego światła, wobec którego występują na jaw w dosadnym kontraście wszystkie satyryczne pogłębienia. Stara księżna, matka hrabiny de Cerny, jest właśnie tą figurą gorującą w utworze, jest wcieleniem pogodnego rozsądku i czysto francuskiego humoru, który fajerwerkami rozświeca cienie *Świata nudów*. W ogólnej budowie sztuki żywioł satyryczny, jak zwykle w nowych komedyach francuskich, stanowi tło, na którem rozwija się gra uczuć i historya trzech par zakochanych. W tym świecie nudów małżeństwo wesołe i kochające się musi prawdę uczuć pokrywać maską pruderyi. Młodzi państwo Raymond, goszczący dla karyery w salonach hrabiny, a całujący się po kątach i korytarzach, naznaczający sobie schadzki w oranżeryi, są przepyszną parą wesolutkich małżonków i stanowią żywy kontrast z całą czeredą sztywnych, wykrochmalonych figur. Obok tych miłostek małżeńskich, przybierających pozór zakazanego owocu, autor kreśli dzieje dwu par zakochanych: Bellaca z młodą angielką, sztywną sawantką, oraz młodego de Cerny z ubogą sierotą Zuzanną. Pierwsza miłość jest komicznie pedancką, okrywa ją płaszczyk fałszywej powagi, przemawia językiem formuł filozoficznych; druga jest namiętnością szczerą i głęboką, która w duszy zamrożonego erudyty rozpala ogień zapału i zrywa skorupę szkolarskiego zasuszenia. Całość sztuki pod względem kompozycyi, składająca się z żywiołów współrzędnych, jest raczej obrazem obyczajowym, aniżeli jednolitym dramatycznym splotem uczuć i namiętności. Talent autora zabłysnął tu głównie w ustępach zbiorowych, w znakomitem prowadzeniu zawiłego nieraz kontrapunktu scenicznego, w zręcznem wydobyciu satyrycznych sprzeczności i błyskach rzetelnego dowcipu. W charakterystyce i malowaniu uczuć Pailleron okazał dość wybitną zdolność, ale tylko starą księżną dorównał innym mistrzom komedyi francuskiej, stwarzając postać świetną, nawskróś francuską, uosabiającą jeden z najbardziej sympatycznych przymiotów narodowych tego dzielnego ludu. W innych postaciach, lubo ładnie wykończonych, przypomina już znane typy, ale w scenach miłosnych roztacza dużo poetycznego uroku i tej szlachetnej elegancyi, która jest jednym z najcelniejszych przymiotów pięknej komedyi, wzbogacającej nasz repertuar bardzo pomyślnie.

Chociaż niektóre jej rysyi szczegóły tracą u nas swą satyryczną intencyę, zastosowaną ściśle do stosunków miejscowych, jednakże całość, obok niepośrednich zalet, tchnie duchem swobody, jest pełnym wytwornej ironii protestem przeciw obyczajowej i umysłowej pleśni.

Naszej scenie przyswoił ten utwór p.

Lubowski w szacie godnej oryginału, zachowując prostotę i elegancyę stylu. Wykonanie jej przedstawiało ogromne trudności, które w pewnej części pokonano. Z ogółu grających artystów należy wyróżnić pannę Wisnowską i panią Ostrowską, pp. Stromfelda i Tatarkiewicza a reżyseryi oddać słuszną pochwałę za dobre odtworzenie w akcesoryach i wystawie charakteru paryskiego salonu.

S. K.

W PERSPEKTYWIE.

Zbrodnie. — A. Lipski. — Nieszczęsne ręce przy ciemnych głowach. — Efialtesy gminni i ich sposoby wywłaszczania z ziemi włościan. — Łaźnie wiejskie. — Gdzie chłop kąpać się może. — Zmniejszenie liczby gubernij. — Skutki zadawania się z niemcami. — Kulawy afisz. — *Per risum multum...* — Pomyłka *Gazety Lubelskiej*.

Odtrąciwszy nawet te „straszne zbrodnie,“ których wcale nie spełniono, i tych Rinaldinich, których plotkarskie dzienniczki dla ożywienia swych kolumn stwarzają, pozostanie nam jeszcze bardzo poważna liczba opryszków i zbójeckich napadów. Tu zabito zbywatela ziemskiego, tam woźnicę, tam włościanina, tam obrabowano księdza.

Między ofiarami strzelby i noża znalazł się A. Lipski, właściciel Klikawy w Radomskiem. Przypadek raz posadził mnie obok tego człowieka w karetce pocztowej, jadącej z Radomia do Kielc. Przez całą drogę rozmawiał ze mną o rzeźbach w sposób znamionujący tak szeroką pod tym względem wiedzę, że aż na stacyi zapytałem o jego nazwisko. Nie zdarzyło mi się bowiem spotkać estetyka, któryby tak troskliwie badał przedmiot i tak samodzielne wydawał o nim sądy. Istotna zatem szkoda, że tak poważny umysł zginął.

Zginął z ręki głupiego ogrodnika, któremu do ręki włożył strzelbę rządca. Nieszczęsne te ręce, nad któremi nie czuwa oświecona głowa, do wszystkiego użyć się dają, nawet do działania na własną szkodę. Dowody na to składa p. Dobronoki w piotrkowskim *Tygodniu*. Jak wiadomo, dla zapobieżenia wywłaszczaniu się włościan z gruntu, prawo upoważnia sąd gminny do znoszenia umów sprzedaży osad chłopskich żydom lub szlachcie. Ale na cóż Bóg stworzył pisarzów gminnych, tych Efialtesów wiejskich, którym żaden Leonidas się nie oprze; ci zawsze wskażą nieprzyjacielowi ścieżkę, którą obejdzie Termopyle. Jakoż i tu umieli sobie poradzić, wydając lichwiarzom świadectwa stanu włościańskiego i podznaczając gromadę krzyżykami. Lichwiarz pożyczał chłopu pieniądze i w zastaw brał osadę, potem, gdy termin spłaty minął, — sprzedawał ją innemu gospodarzowi z aktu urzędowego, podczas gdy poprzedni właściciel daremnie ufał w potęgę *świadków*. P. Dobronoki przywodzi wypadek, w którym wyrugowany tym sposobem z gruntu włościanin, rozpił się i w nędzy umarł. Dopiero gdy sąd wiele podobnych tranzakcyj unieważnił i gromadzie oczy przetarł, zaczęła ona pilnować swych interesów i... pisarzów gminnych.

Zanim szkoła chłopom głowę oświeci, może wprzód *Gazeta Świąteczna* ich wykąpie. Redakcya tego pisma ogłosiła konkurs na projekt łaźni wiejskich. Dotąd nadesłano tylko dwa plany, więc termin konkursu został przedłużony. Tylko dwa? Po co to zdziwienie! Gdzieżby nasi technicy, zawsze tylko pomysłowi dla panów, zniżyli się do opracowania projektu łaźni dla chłopów! Niech sobie p. Prószyński sprawi im nawet wanny kaflowe i lampy elektryczne, ale niech nie kłopocze swą dziką myślą archtiektów. To też zdaje mi się, że *Gazeta Świąteczna* otrzyma wreszcie, kiedy tego pragnie, dużo planów, ale większość pomiędzy nimi brzmieć będzie tak: najlepsza łaźnia dla chłopa: w zimie śnieg przed domem, w lecie rzeka lub sadzawka, a wreszcie — żydowska parówka w najbliższem miasteczku.

Pogłoska o zmniejszeniu (jak niegdyś o powiększeniu) liczby gubernij zaniepokoiła prowincyę. Jedne miasta drżą o utratę swej godności, inne cieszą się spodziewanem jej nabyciem. Do pierwszych należy Piotrków i Kalisz, do drugich Łódź. Dla czego ostatnia tak tęskni do gubernialnego zaszczytu, pojąć nie mogę. Gdybym był miastem, miał sąd, pocztę, telegraf, lekarza, aptekę i czujną na prawdziwych zbrodniarzy policyę, zrzekłbym się nawet urzędu powiatowego, a cóż dopiero gubernialnego. No, ale tymczasem kilka gazet, które zasięgnęło języka w Petersburgu, zapewnia, że dotąd — jak powiadają niemcy — „pozostaniemy przy starej lirze.“

Niech mi to wyrażenie niemieckie daruje *Gazeta Warszawska*, według której *skutki zadawania się z niemcami* są straszne. Jacyś bowiem Sacherowie, posiadający w powiecie jampolskim majątku na 401 rs., uciułali sobie długów 51, 319 rs. 53 kop. tak że po likwidacyi ich majątku wierzyciele dostali po $^4/_5$ kop. za rubel należności. Żal mi serdecznie tych ludzi, żeby wszakże podobne oparzenie się miało być wyłącznie „skutkiem zadawania się z niemcami“ — nie sądzę. Na Pawiaku siedzi niedawno tam wprowadzony pewien nasz brat z krwi i kości, którego wierzyciele nie dostali nawet $^4/_5$ kop. za rubla. Odrobina sprawiedliwości nigdy nie zaszkodzi. Nie trzeba i siebie durzyć i obcych spotwarzać.

Nie trzeba nawet w taki sposób. Dzienniki warszawskie powtórzyły śród serdecznego śmiechu za *Kaliszaninem* kaleką polszczyzną wyrażony afisz cyrku niemieckiego. Brzmi on tak:

„Pożegnane przedstawienie i Peneficia dla Panny Marie Hergott — Wielmoszne Państwo, to dziżejsze Przedstawienie jest Benefica dla mnie, z ochot Dżiś występiam i mam to zapewnienie, że Beneficia moia przyijmana bedzie, o które łaskawe i liczne zebranie uprasza (podpisano) Marje Hergot.“

Z czego tu się śmiać? Z tego, że niemcy usiłowali przemówić do ludności miejscowej jej językiem? Gdyby wywiesili afisz niemiecki — krzyczelibyśmy, gdy wywiesili z błędami polski — śmiejemy się. Żeby więc nam dogodzić, potrzeba, ażeby każdy cudzoziemiec znał doskonale nasz język. To nieco za wiele. Dajmy pokój niedorzecznym szykanom, zamieszczaniu w gazetach dziwacznej „znakologii“ (?), naigrawaniu się z szyldów źle po polsku pisanych, bo to ani nam chwały nie przynosi, ani obcych nie zyskuje, — i co najwyżej przypomina nam łacińskie przysłowie z lat szkolnych: *per risum multum...*

Wszystko to nie stosuje się do *Gazety Lubelskiej* — zastrzegam wyraźnie. Pismo to bowiem twierdzi, że mnie „kłuje w oczy, iż organ prowincyonalny stara się zbierać wiadomości statystyczne.“ Ponieważ mnie żadne „wiadomości statystyczne“ nigdy „w oczy nie kłuły“ i ponieważ w *Liberum Veto* była wzmianka o ogłaszaniu przez dzienniki powszechnie znanych wiadomości geograficznych, przeto sądzę, że zaszła następująca pomyłka: kiedy *Poseł prawdy* kuł pisma warszawskie, *Gazeta Lubelska* niepotrzebnie nogę podniosła.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 listopada.

Król włoski pożegnał się czule z cesarzem austryackim i wyjechał z Wiednia, flagi zdjęto, rachunki przyjęcia popłacono, teraz wyobraźnia dobiera klucze do otworzenia tajemnicy zjazdu. Mimo jednak morza atramentu i setek ryz papieru na ten cel spotrzebowanych, najdomyślniejsi nie umieją nam nic więcej powiedzieć nad to, że skutkiem odwiedzin jest „zbliżenie się“ Włoch do Austryi. Domyślaliśmy się tego przed zjazdem i bez pomocy długich wywodów gazeciarskich. Gdyby przynajmniej wykryto, czy owo „zbliżenie się“ zostało określone jakimś aktem formalnym! Ale i tego niewiadomo. Wiadomo tylko, że publicyści od brzegów Atlantyku aż do brzegów Wisły i Uralu umieją pisać szerokie i długie artykuły o tem, z czego nie można wycisnąć ani kropli treści. Z podziwem dla tej zdolności przejdźmy do porządku tygodniowego innych spraw politycznych.

Izba francuska rozpoczęła już swoje obrady a raczej badania winnych w procesie tunetańskim ministrów. Ażeby sąd ten wypadł dla nich możliwie najłaskawiej, roli prokuratorskiej podjęli się przyjaciele z lewicy. Wrogie wszakże gabinetowi krańce Izby nie zrzekły się prawa interpelacyi i zaostrzają ciągle oskarżenie, którego odparcie dużo potu będzie kosztowało ministrów. Dotąd nie znamy jeszcze ich odpowiedzi przedmiotowej, tylko oświadczenie prezesa gabinetu, Ferrego, który zadeklarował solidarną odpowiedzialność swych kolegów za wyprawę w Afryce. Gładko sprawa nie pójdzie, tembardziej, że niedołężny minister wojny osłabił podobno armię w kraju do liczby, któraby wcale nie przeszkodziła Portugalii zawojować Francyę, gdyby jej przyszła dziś szczera do tego ochota. Również po przyjacielsku odbędzie się interpelacya co do polityki wewnętrznej. Ktoś życzliwy wytoczy ten przedmiot na stół, a Gambetta chwyci sposobność i rozwinie swój program. Jeżeli go Izba zasypie kwiatami, wówczas on uściele sobie nimi drogę do prezydualnego krzesła w gabinecie. A może nawet w tej chwili już się na nim dumnie rozpiera i mruga do sąsiada w Berlinie, którego ostatecznie... nie odwiedził. Utrzymywaliśmy to nawet wtedy, gdy najpoważniejsze muchy dziennikarskie brzęczały w siatce, którą na nie zastawił pająk *Timesa*, osnuwający z Paryża prasę europejską banialukami — pyszny, próżny i znajomością z Bismarkiem szczęśliwy p. Blowitz.

Kto wie, czy on teraz nie zacznie radzić swemu dostojnemu przyjacielowi, sklopotanemu wynikiem wyborów. Wierni sludzy bowiem potonęli w urnach. Z kim tu rządzić, gdy zostały partye, które p. Pindter popiętnował kolejno znamieniem *Reichsfeindlichkeit*? Biedny kanclerz zaczyna już nawet wdzięczyć się do swych największych nieprzyjaciół — żydów. Przed kilku dniami zapewnił jednego z przemysłowców przy obiedzie, że nie pochwala ruchu anti-semickiego i że uważa go za krzywdzący. Wszystko to jednak nie przeszkadza mu dziękować za telegraficzne powinszowania anti-semitów, życzących powodzenia w tępieniu „choroby.“

W ostatniej chwili nadbiega wiadomość, że ks. Bismark jest już... zmęczony walką i schorzały, że więc poprosi cesarza o dymisyę. Chroniczna zatem groźba już się objawiła. *Die Demission muss wieder paradiren*—woła, chichocząc się, prasa liberalna. Doprawdy kanclerz niemiecki powinien by już raz albo ustąpić, albo przestać kompromitować się tym strachem na wróble.

Za zbyt często z nim wyjeżdża. Ile razy wprzęże sejm do swych zamiarów, jest rzeźki, zdrów i obiecuje postępowcom, że nigdy nie ustąpi, dopóki cesarz jego usług potrzebować będzie; gdy mu się plany nie powiodą, zaraz kwęka, skarży się i chce odchodzić. Śmieszna histeryczność w tak wielkiem polityku. Byłaby ona bardzo właściwą w roznerwowanych babach, które prowadzają pinczerów, nie—dogów.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Ustawa kasy państwowej ubezpieczenia robotników, popierana przez ministra finansów, otrzymała już w zasadzie zatwierdzenie władz wyższych.

— Opłaty włościańskie wykupne postanowieniem Rady Państwa zostały obniżone w całem państwie.

— Ministerium spraw wewnętrznych zawiadomiło okólnikiem właściwe władze, że pasierbi, mieszkający przy matce jedynaka, nie odejmują mu przywileju wobec poboru wojskowego.

— Kapitan Bogdanowicz otrzymał patent na wynalezione przezeń ławki ratunkowe dla tonących. Mają one odznaczać się prostotą budowy i praktycznością zastosowania.

— Jenerał-gubernatorowie rosyjscy pobierają następujące roczne pensye: moskiewski rs. 58.800, warszawski rs. 37,240, wileński rs. 23,520, kijowski rs. 23,520, odeski rs. 23,520, charkowski rs. 23,520, wschodnio-syberyjski rs. 18,620, zaahodnio-syberyjski rs. 13,233, orenburski rs. 9,900 (obecnie zniesiony).

— W Moskwie urządzony został zjazd przedstawicieli osad rolnych i domów przytułku dla nieletnich przestępców z inicyatywy kuratora moskiewskiego domu przytułku.

— Budżet ministerstwa oświaty na rok przyszły wskazuje dochód rs. 2,337,253, rozchód zaś rs. 17,917,670; w roku przyszłym wydatki powiększono o rs. 534,800 w porównaniu z r. bieżącym.

— Na wyborach do sejmu niemieckiego wybrani zostali z W. Ks. Poznańskiego: H. Turno z Obiezierza, Kazimierz Chłapowski, ks. dr. Jażdżewski, dr. Witold Skarzyński, Marceli Żółtowski, Teofil Magdziński, dr. Roman Komierowski, Stanisław Kurnatowski, ks. Ferdynand Radziwił, hr. Stefan Kwilecki, hr. Leon Skórzewski, landrat Unruh, niemiec Colmar. Z Prus Zachodnich: Antoni Kalksztajn z Pluskowic, Kalksztajn z Klonówki, Michał Szczaniecki, Leon Czarliński. Prócz tego będzie jeszcze kilka wyborów ściślejszych.

Szkoły i uniwersytety. Studenci zakładu rolniczego w Puławach udali się do dóbr Kutno w celu zbadania tamecznego gospodarstwa rolnego; w wycieczce tej przewodniczył im p. Cichocki profesor zakładu.

— Jenerał-major Kochowskij pedagog otrzymał od ministra oświaty polecenie obejrzenia stanu szkół rządowych i prywatnych w Syberyi i szczegółowego zdania sprawy z tego przeglądu.

— Wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące tematy na rozprawy konkursowe: 1) Narośle hemoroidalne, objawy i sposób operacyjny ich leczenia. 2) Jaka jest różnica pożywności dla człowieka między mięsem a pokarmami roślinnymi i skąd różnica ta pochodzi? 3) Wykonać szereg doświadczeń w celu wyjaśnienia nauki o pasożytowych powodach chorób puerperalnych.

— Wydział historyczno-filologiczny:

Bajki Sumarokowa.

Zwrócić głównie uwagę na stosunek utworów tego pisarza do ówczesnego rosyjskiego życia, a także zrobić porównanie z bajkami innych rosyjskich pisarzów XVIII stulecia, oraz porównać z bajkami Kryłowa.

Do rozpraw zaś kursowych ogłoszono temata następne: Katedra historyi powszechnej. Kościół i państwo w Polsce w XV stuleciu. Katedra historyi nowożytnej: 1) Giermańskie sejmy w 1-ej polowie XVI stulecia. 2) Giermańska historyografia w XVI wieku. 3) Pochodzenie paryskiego parlamentu i jego organizacya w wieku XVI. 4) Sejmy polskie za panowania Zygmunta I starego i II Augusta. 5) Jan Tarnowski wielki hetman koronny (szkic biograficzny), a także: Stosunek Pliniusza młodszego do cesarza Trajana podług listów ich pisanych do siebie.

Przemysł i handel. W sferach właściwych wzniowiono postanowienie, aby osoby, ponoszące szkody w skutek pożarów na kolejach, udawały się ze swemi pretensyami nie do ministerium komunikacyj, lecz do odnośnych zarządów, a w razie odmowy poszukiwały wynagrodzenia na drodze sądowej.

— Ministerium komunikacyj wydało rozporządzenie, aby zarządy dróg żelaznych rozciągnęły baczną uwagę na towary nierewidowane, idące z zagranicy w wagonach opatrzonych zamkami i plombami.

— Bank Polski otrzymał pozwolenie na powiększenie swego kapitału zakładowego, na co obracane będą zyski coroczne, przelewane obecnie do skarbu.

— Ministerium finansów udzieliło p. Blinowowi patent wynalazku na wagon z szynami tak zwanemi bez końca.

— Nowe Towarzystwo ubezpieczeń od ognia świeżo zostało zatwierdzone przez ministerium pod nazwą „Rodina;“ na czele jego stoją przedsiębiorcy rosyjscy i amerykańscy.

— Edison sprzedał prawo eksploatacyi swej lampy elektrycznej w obrębie Cesarstwa i Królestwa kupcowi petersburskiemu Nothbekowi.

— Minister skarbu francuskiego ogłosił niedawno dane statystyczne co do spożycia tytoniu we Francyi i dochodu, jaki ono przynosi skarbowi. W r. 1815 zużyto 9,753,000 kilogram., dochód zaś wynosił 33,872,000 fr. W r. 1860 ilość zużywanego tytuniu wynosiła już 29,580,000 kilogramów a podatek 195,325,000 fr. Z tego widać, że w ciągu lat 15 daleko bardziej powiększyła się ilość tytoniu zużytego, aniżeli akcyzy od niego. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej cyfry te dochodzą do większych jeszcze rozmiarów. W roku przeszłym pobrano podatku od 2,682,000,000 cygar (z tej liczby 45,000,000 wywieziono do Europy) od 567,000,000 papierosów, 475,000,000 funtów tytoniu do palenia, 118,000,000 funtów tytoniu do żucia i 5,000.000 funtów tabaki.

Literatura polska. *Słownika geograficznego* zeszyt 23 wyszedł z pod prasy i zawiera wyrazy od *Grąblewo* do *Grużdzie*. Następny zeszyt 24 zakończy tom II-gi.

— *Encyklopedyi wychowawczej* zeszyt 4 tomu II-go wyszedł z druku i zawiera artykuły: *Borowski, Boromeusz, Bossuet, Botanika, Brodziński i Broscius.*

Literatura niemiecka. *Der kleine, mittlere und grosse Grundbesitz der Provinz Posen* (Berlin Luchhardt).

— Renand. *Das Recht der Commanditengesellschaften.*

— Rohau. Ein Versuch ueber die *Entstehung und Strafbarkeit der menschlichen Handlungen.*

— Scheurl. *Das gemeine deutsche Eherecht.*

— Schmidberger. *Die Volkswirthschaftslehre* oder National-Oekonomik, Lehrbuch für höhere Unterrichtsanstalten sowie zum Privatstudium.

— Westergaard. *Die Lehre von der Mortalitaet und Morbilitaet.*

— Raeblich. *Das Buch der Physik*, gemeinfassliche Darstellung.

— Drescbler. *Illustrirtes Lexicon der Astronomie.*

— Fick. *Flora von Schlesien.*

— Hoernes. *Die Erdbeben Theorie* Rudolf Falbs.

— Laubenheimer. *Grundzüge der organischen Chemie.*

Sztuki piękne. Józef Chełmicki, dawniej dyrektor zwiniętej „Drzeworytni warszawskiej,“ założył w Petersburgu pracownię artystyczno-drzeworytniczą.

Teatr. W Warszawie w Teatrze rozmaitości wystawiono komedyę 3-aktową Pailleroną *Świat nudów*, w przekładzie Edwarda Lubowskiego, w Teatrze małym farsę *Trzy kapelusze.*

Nekrologia. Józef Garnier zmarły w Paryżu głośny popularyzator ekonomiki, godny następca Saya. Urodzony 3 października 1813 roku w Benil pod Nizzą. Garnier ukończywszy nauki początkowe, wcześnie bo już w r. 1829 przeszedł do paryskiej „Szkoły wyższej handlowej.“ Wkrótce z ucznia został prof. a w końcu dyrektorem pomienionego zakładu, opuścił go dopiero w r. 1836, aby objąć kierownictwo założonej przez siebie w r. 1838 „Ecole professionelle,“ która zostawała pod jego zawiadywaniem do r. 1844. W r. 1843—4 zajęcia dyrektora szkoły połączył z wykładami w ówczesnem „Athénée“ w Paryżu, wreszcie w r. 1846 Garnier powołany został na profesora ekonomiki w „Szkole dróg i mostów.“ W r. 1873 zasłużony już i głośny we Francyi i za granicą został członkiem „Academie des sciences morales et politiques.“ W mnóstwie artykułów i dzieł poruszał wszystkie kwestye ekonomiczne i brał udział w organizacyi wielu stowarzyszeń naukowych i ekonomicznych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Bezimiennemu. Niech te wiersze będą „pierwsze i ostatnie.“

P. L. R. w Puławach. Kierunek święto-jurski — we Lwowie.

P. A. Domher w Hrubieszowie. Wysłano, ale od drugiego kwartału, bo pierwszy wyczerpany.

Biesiadzie literackiej. O ile was sprawozdawca *Perspektywy* rozumie, o tyle Waszych przesadnych obaw pojąć nie może.

OFIARY.

Dla Jana A. S. Malczewskiego w Omsku Izydor M.... z Izabelina rs. 25.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Октября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.